

# Kamena

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Białystok — Kielce — Lublin — Rzeszów



## Ci z czterech województw...

(O naradzie młodej inteligencji woj. białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego piszemy na str. 6—7)

### LUDWIK KRASUCKI

**K**ALENDARZ robi swoje. Osiem, nawet jeszcze sześć lat temu każda, w miarę kompetentna, wypowiedź krytyczna o tak zwanej „powieści produkcyjnej” miała swój walor, swą cenę w walce o sprowadzenie literatury z manowców myślenia uproszczonego, o prawidłowy model polityki kulturalnej. Dziś taki głos nie może być niczym więcej niż kolejną polajanką, wyrazem łatwizny, walki z wiatrakami. W istocie wszystkie dowody przeciw powieści produkcyjnej w wydaniu wczesnych lat pięćdziesiątych dawno zostały zgromadzone i podane do wiadomości publicznej. Mamy ich skutek zamierzony — niechęć do siedmiu, czy więcej grzechów głównych powieści produkcyjnej. I skutek niezamierzony — słuszną krytykę schematyzmu, płytkiej dydaktyki, wąskiej ilustratywności, podpartej fałszywym założeniem o wszechobecności wrogiego agenta, płycizny artystycznej i psychologicznego ubóstwa charakterów, doprowadziła, niestety, do wygaśnięcia tematu robotniczego w prozie polskiej ostatnich lat. Kilku Ślązaków, paru łodzian, ktoś z Gdańska — i ani arkusza więcej. Rzecz znamienita. Nawet krytycy, którzy głoszą potrzebę literatury

zaangażowanej, związanej z polską współczesnością, budującej los narodu — jak Jan Zygmunt Jakubowski — nie znajdują słowa na rzecz tematu, który mimo niepowodzenia wielu prób nie przestał istnieć. Krytycy, którzy problemy polskiej prozy współczesnej widzą w szerokim planie różnych stylizacji,

kręcących się w każdym dzienniku maszynach lub jako tło przy otwieraniu obiektów, świętowaniu rocznic. Jedyny wyjątek — na wagę złota — to bohater sztuki telewizyjnej Broszkiewicz „Ta wieś, Mogiła”, która zasłużyła zdobyła pierwszą nagrodę na ubiegłorocznym konkursie.

kochani na ławce, pod księżycem, rozmawiają szeptem o nowej maszynie, sabotażysta z kulackim rodowodem psuje agregat, inżynier porzuca ukochaną, choć nigdy nie pocałowaną koleżankę na rzecz żony — mieszczańki, aby zgodnie z imperatywem „socjalistycznej” moralności przekształcić ją wreszcie we wnętrzu.

## Temat czeka

formuł i wariantów artystycznych — wydzielają w ogóle z tych rozważań problematykę człowieka w przemyśle lub docierają do niej jedynie mimo woli po fałszywych udziwnionych — sfrustrowanej młodzieży, dylematów ściśle pozaspołecznych, czasem poprzez społeczną patologię.

Deficyt literatury na temat robotniczy przedłuża się na pokrewne dziedziny: „Drugi człowiek”, „Szlaka górna”, „Złoto”, „Wilczy bilet” — to jedyne w ostatnich latach próby wprowadzenia na ekran człowieka, pracującego w przemyśle. W teatrze tylko jedna próba: „Ktoś nowy” Domańskiego. W telewizji człowiek z przemysłu pojawia się tylko przy

Znaleźliśmy się w niewoli skojarzeń. Gdy mowa o temacie robotniczym czy — szerzej — temacie fabrycznym, natychmiast przychodzi na myśl znane warianty: pacierowy bohater pozytywny, wahający się przedmiot zabiegów, poddany wpływowi jego kaznodziejstwa i dzięki temu odrzucający podstępny chytrego wroga. Dramatyczne rozmowy o maszynach, wydajności pracy, brakoróbstwie. Misjonarska rola kolektywu. Wąsaty przedstawiciel starej generacji — nosiciel klasowej świadomości i cnót. Domieszana do tych wątków miłość — dobra, zła, czasem obie na raz. A w tle — nie polskie, a międzynarodowe doświadczenie powieści produkcyjnej: za-

Skojarzenia zniechęcają. Nie martwi więc nikogo, że mamy już tuziny powieści o powikłaniach młodego inteligenta, przybyszającego po dyplomie na prowincję, że niedługo ukaże się dwudziesta piąta rzecz o wiejskich konfliktach na tle własnościowym. Tu — w bok od potężnego nurtu ostracyzmów wobec tematu „produkcyjnego” — można bezkarnie uprawiać schemat, wąską ilustratywność i banal. Krytycy zastosują taryfę ulgową — grunt, że ani obrabiarki, ani traktora. To już gwarantuje czwórke — tylko ambitniejsi „oceniacze” dodadzą minus. Niektórzy dostrzegą w tym nawet wyższe prawo rozwoju polskiej prozy współczesnej, ucieczkę od spraw człowieka, budującego polski przemysł socjalistyczny, podążając do rangi uogólnienia teoretycznego na całą epokę.

A więc: problem z głowy? Nie da rady. Tak czy owak bohater zatrudniony w przemyśle, wróci na karty

(Dokończenie na str. 8)

**M**ĘŻOWIE stanu, którzy w imieniu swoich narodów, a przede wszystkim w imieniu antyhitlerowskiej koalicji, podpisywali w październiku 1943 r. Deklarację Moskiewską, a potem w sierpniu 1945 r. Porozumienie Londyńskie, tworząc prawne podstawy sądenia zbrodniarzy wojennych w trybunałach — z Trybunałem Norymberskim na czele, nie przewidywali zapewne, że w 20 lat później świat stanie wobec stworzonego przed władzą NRF problemu przedawnienia zbrodni ludobójstwa.

Władze NRF chcą podeptać wolę narodów, która znalazła się u podstaw zasady wielonarodowej w normy międzynarodowego prawa karnego, iż zbrodniarze hitlerowscy nie ujdą sprawiedliwości...

Przypomnijmy tragiczne lata. Państwo Hitlera zdeptało to wszystko, co człowiek wywalczył dla postępu przez długie tysiąclecia swoich dziejów. Faszyzystowskie prawnicy ukuli szatańską w skutkach, fałszywą z punktu widzenia historii i filozofii, prawa karnego, zasadę nullum crimen sine poena. Oparając się o tę zasadę uznawali dowolnie za przestępstwo każdy, nie odpowiadający im przejaw działalności człowieka i karali za to rzekome przestępstwa śmiercią albo obóz koncentracyjny, z którego niejedno-

krotnie było jedno wyjście — przez komin krematorium.

Szczególnie bezprzykładne są zbrodnie, których hitlerowscy ślepacze dopuścili się wobec narodu polskiego.

Prawo i uczucie woła o sprawiedliwość. Mimo jednak istnienia wspomnianych norm prawa międzynarodowego, mimo żądań naszych władz państwowych domagających się ekstradycji dwunastu tysięcy zbrodniarzy hitlerowskich, przeciwko którym posiadamy ma-

teriał dowodowy, wydano nam niespełna dwa tysiące. A teraz znów mówi się o konstytucyjnych warunkach 20-letniego przedawnienia. 9 maja 1965 r. — zwróćmy uwagę na datę: w Dniu Zwycięstwa — upłynąłby ten okres czasu, w którym wolno ścigać hitlerowskich zbrodniarzy wojennych.

## Bezprawie

W państwie bońskim — a obserwujemy to już od dawna — gdzie skoncentrowane rozbiły siły hitleryzmu i odwetu narzucają swój bardziej lub mniej zamaskowany dyktando, problem przedawnienia stał się rezultatem oficjalnej polityki. Zawily język dyplomatyczny —

myślał — była również chęć obrony zbrodniarzy wojennych.

W ciągu tysiącleci człowiek popełnił niejedną zbrodnię, niejedno przestępstwo. Były i zbrodnie masowe, wśród nich przerażająca karta historii — okres żywych pochodni rozpalonych przez świętą inkwizycję. Ale wówczas nad ludzkością rozciągała się przecież gruba powłoka ciemnoty. Nad naszym wielkim tej powłoki już nie ma...

Według koncepcji twórcy III Rzeszy plan biologicznego wyniszczenia narodu polskiego (i nie tylko polskiego) był ściśle określona koncepcja polityczna. Kohorty SS reallażowały ten plan z całą premedyta-

cją. Cóż więc za prawo mają dzisiaj władze bońskie, aby jednostronnie, odrębnym aktem prawnym, który właściwie byłby aktem bezprawia, zaprzęść ścigania największych zbrodniarzy, jakich kiedykolwiek wydała ludzkość? Trw. przedawnienie nie jest wewnętrzną sprawą Bonn, jest sprawą wszystkich narodów, które w walce na śmierć i życie zdruzgotaly hitlerowską machinę, niosąc wolność Europie, niosąc wolność samemu narodowi niemieckiemu.

Piszemy te słowa w Lublinie, miasteczku, w którym płonęły piece Majdanka, piszemy te słowa w Lublinie — stolicy województwa, którego ludność tak okrutnie została doświadczona przez hitleryzm. Tutaj płonęły wieś i miasteczka, tutaj było niejedno Lidce, tutaj kopniakami lamano ludziom zebra, tutaj szcuro psami, dzieciom roztrąskiwano główki, tutaj do komór gazowych wędzono miliony istot. Tutaj...

Mamy prawo, i z prawa tego nie zrezygnujemy, podnieść gniewny głos protestu żądając zaprzestania żonglerki prawnopolitycznej Bonn. Hitlerowskie zbrodnie nie mogą pozostać bezkarne. Tego domaga się poczucie elementarnej sprawiedliwości. Milionom ofiar faszyzowskiego bezprawia miało życie nie wrócić, ale w ich imieniu, w trosce o to, aby podobne bezprawia nie powtórzyły się już nigdy, podnosimy głos protestu.

## Odgłosy

### Oreż partii

**R**ADZIECKI dziennik „PRAWDA” zamieścił artykuł LEONA KARPINSKIEGO pt. „Krytyka i samokrytyka potężnym oreżem partii”. „Dokonałenie demokracji socjalistycznej i popieranie rewolucyjnej inicjatywy mas to niezwykłe ważne założenie programowe KPZR” — stwierdza autor.

„Dla socjalistycznego demokracji — czytamy dalej w artykule — z gruntu wroga jest ideologia kultu osoby (Stalina), pogląd, jakoby zadania stojące przed wszystkimi ludźmi pracy może wykonać jedna osoba, a milionom pozostaje tylko liczenie na jej niezwykłą mądrość i bezmyślne wykonywanie wskazówek tej osoby. Podobna ideologia tworzy normy, które przeszkadzają masom w aktywnym wpływniu na przebieg wydarzeń, a przywódcom — w uczeniu się od mas. Partia zdecydowanie potępia kult, uwarcie i konsekwentnie realizuje zasady leninowskie. Posiedzenia plenarnej KC KPZR w październiku i listopadzie dowiodły, że partia jest wier-na kurzowi leninowskiemu”.

Karpiński stwierdza dalej, że rola krytyki i samokrytyki nie tylko nie ma leże w miarę kolejnych sukcesów budownictwa komunistycznego, lecz na odwrot — stale wzrasta. „Próby przekonania siebie i innych, że sprawy zawsze stoją dobrze, nawet wtedy, gdy występują poważne braki, chęć naginania rzeczywistości do własnych wyobrażeń — wszystko to przeczy zasadom naukowego kierownictwa, dezorientuje masę”.

Krytyka — kontynuuje Karpiński — nie powinna się sprowadzać jedynie do konstatowania błędów, lecz powinna poleżeć na szukaniu przyczyn zła. Jednocześnie autor ostro występuje przeciwko dawcielowi krytyki. „Nie uwłaczaj formą przedawnienia za krytykę jest nadużycie w tym celu stanowiska służbowego — zwolnienie z pracy lub przeniesienie na niższe stanowisko, rezygnacja pracy w zawodzie, dyskryminacja w wynagrodzeniu za pracę, a także czczenie trudności w stosunkach mieszkaniowych, korzystaniu ze służby itp.” W takich przypadkach mowa jest o gwałtownym podstawieniu praw obywatelskich. Statut partyjny przewiduje za takie przewinienia surowe odpowiedzialność partyjną, do usunięcia z KPZR włącznie.

### Ubogi krewny

**N**A plenarnym posiedzeniu Rady Teatru przy Komitecie do Spraw Kultury i Sztuki omawiano sytuację w dramaturgii rumuńskiej. Miesięcznik „FATRUL” zamieścił ostatnio wygłoszone na tym posiedze-

niu przemówienie znanego dramaturga rumuńskiego, laurata nagrody państwowej, a zarazem dyrektora jednego z bukareszteńskich teatrów, HORII LAVINESCU.

„Rumuńska twórczość dramatyczna — stwierdził Lavinescu — nie znajduje się na właściwym poziomie. W porównaniu z innymi dziedzinami sztuki, jak architektura, muzyka, plastyka itp., dramaturgia przypomina ubożego krewnego z prowincji... Dlaczego drepczemy w miejscu? Jak możemy osiągnąć co najmniej poziom innych dziedzin sztuki? Tym, co na pierwszy rzut oka uderza mnie, gdy patrzę na naszą dramaturgię, jest wielki odsetek starych, prac z poprzednich lat oraz widoczna kruchość wielu spośród sztuk dzisiejszych. Jest kilka tytułów, które będą aktualne przez pewien czas, ale jest ich za mało. Wiemy, że pewni aktorzy skarżą się, iż teatry nie uznają nawet tych dobrych sztuk. Uważam, że jeżeli nawet tak jest, to tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach. Trzeba także dodać, że nie każda dobra sztuka jest nadal aktualna i że często odpowiednim miejscem dla nich nie jest teatr, lecz historia literatury.”

„Porzućmy — kontynuuje Lavinescu — recepty i klisze. Porzućmy moralizatorską dydaktykę. Rzućmy w ogień prefabrykaty. Bójmy się optymizmu na rozkaz. Nie podejmujemy problemów dlatego, że tematy są chybliwie, ale bierzmy się za tematy bliższe naszym skłonnościom i poprzez nie zbliżajmy się do prawdziwego życia, o którym tak wiele mówimy, ale do którego boimy się zbliżyć. Przy pomocy namiastek życia przedstawianych bardzo pracownie według absurdalnych recept. Do których sami się nagielimy, nie będziemy mogli wyjść z kryzysu, z literatury powierzonej, konwencjonalnej, i — dlaczego nie mielibyśmy tego powiedzieć — przy wszystkich jej najniższych intencjach, niepotrzebnej. Dziełem, czy twórczością dramatyczną, potrzebna socjalizmowi, nie jest sztuka moralizatorska, ale sztuka prawdziwa z artystycznego punktu widzenia, a ta prawda będzie zarte i moralna i wzmacniająca na duchu, ponieważ jest prawdą naszego nowego społeczeństwa”.

Końcowa część wypowiedzi Lavinescu poświęcona jest sprawie nowego pokolenia twórców:

„Pokolenie, które nas zastąpi, to, które przechodzi do pierwszej linii, i które naraduje realizuje nasz dezzyderat — nadania silnej i prawdziwej dramaturgii, ma dziś najwyżej 20—30 lat. Jest to pokolenie urodzone w socjalizmie, w myśleniu wolne od wszystkich obciążeń, podatne na ducha wieku. Trzeba wśród młodzieży przeprowadzić wielką akcję badawczą, z pasją i ze zrozumieniem, bez marsa na ciele i bez bicia zawołano w reku. Zrezygnujcie oż wam zdradzić tajemnicę: ci młodzi nie gubią się przed profesorami i nie chcą mieć odczucia humoru, którego brak naszymu pokoleniu śmiało się z nas, kiedy dogmatycznie marszczymy czoło...”

## Przeгляд Prasy

Rola młodej inteligencji w miasteczkach i wsiach oraz sprawa współpracy kulturalno-oświatowej czterech województw — oto temat kolejnego spotkania, jakie odbyło się niedawno w Lublinie. Jego przebiegiem i wynikiem poświęca w „Sztandarze Ludu” artykuł Mirosława Knorr pt. „Trudności nie do pokonania?”

Narzekano na brak przygotowania absolwenta szkoły wyższej do działalności społecznej, na brak w terenie ludzi skłonnych do bezinteresownego działania, ale przecież choćby lubelskie spotkanie wykazało, że tacy działacze są, że przybywa ich coraz więcej. Dokonała się przy tym rzecz godna uwagi i bardzo pożądana — mianowicie wzrost aktywności społecznej inteligencji spoza kręgu nauczycielskiego, na którym do niedawna spoczywał cały ciężar pracy kulturalno-oświatowej na wsi. „Niby na pozór nie nowego. Ale przecież nie można nie dostrzegać takiego np. zjawiska, że już obecnie nauczyciel nie jest jedynym aktywistą na wsi i w miłym mieście. Wiadomo było, że w sukurs mu przychodzi agronomowie, lekarze (...). Okazało się (...), iż są już w Polsce wschodniej powiaty, w których prym wiodą lekarze medycyny i weterynarii”.

Oznacza to po prostu, że nauczycielowi przybyli sojusznicy bardzo potrzebni. Sojusznicy — bo działalność kulturalno-oświatowa na wsi ogniskuje się tradycyjnie wokół szkoły, szkoła bowiem ma te minimalne przynajmniej warunki do podjęcia skutecznej działalności oświatowej i kulturalnej w swoim środowisku. Poświadczono i sprawdzone zostało to choćby w tzw. „eksperymentach lubartowskich”, którego doświadczenia zostały upowszechnione w całym województwie lubelskim. Pisze o nich J. Zięba we „Wsi Współczesnej” w artykule „Nowa rola szkoły w województwie lubelskim”. Wybór szkoły na ognisko działalności upowszechnieniowej w zakresie kultury i oświaty okazał się trafny i owocny. Doświadczenia powiatu lubartowskiego wykazały, że gra jest warta świeczki. Poprzez bogaty, urozmaicony i dostosowany do potrzeb konkretnego środowiska program działania szkoły stały się ważnym elementem rozbudzenia środowiska, wywołania jego zainteresowań.

Zwróćmy jednak uwagę na pewne trudności, jakie widzi autor w włączeniu przyszłolnych ośrodków k.o. W niektórych powiatach powoływanie zbyt wielu równocześnie ośrodków doprowadziłoby do rozdrobnienia i tak szczyplych środków finansowych. Często brakuje jakiegokolwiek sprzętu do pracy z dorosłymi. Ale — pisze Zięba — nie spręż jest najważniejszy: „O wiele ważniejszym elementem, warunkującym powodzenie i osiągnięcia ośrodków, stają się nau-

czyciele, którzy w większości z dużym oddaniem angażują się do pracy społecznej w środowisku wiejskim. Poza tym niezmiernie ważne jest to, czy w danym powiecie istnieje możliwość niesienia pomocy nauczycielowi w przeprowadzeniu niektórych zajęć (...). W tych powiatach, gdzie nauczyciel musi liczyć w realizacji programu wyłącznie na własne siły, zakres i osiągnięcia pracy ośrodków będą bardzo ograniczone.

Wspomniało się wyżej o pieniądzech i kulturze. Wiadomo — przywykliśmy do tego — że do kultury trzeba najczęściej dopłacać. Ale też jest wiele przykładów, kiedy wprost bronimy się przed jakimkolwiek zyskiem ze sprzedaży dóbr kulturalnych. Święty tego przykład znaleźć można w artykule W. Barańskiego „Lizanie przez grube, wydrukowanym w kieleckim „Słowie Ludu”. Warto te historie powtórzyć, bo problem nie jest tylko kielecki. Otóż zorganizowano swego czasu wystawę artystycznych wyrobów kowalskich z województwa kieleckiego. Impreza stała się wydarzeniem na skalę krajową. W stołcy zapadła nawet decyzja, żeby wyroby kieleckich kowali pokazać w NRF. I cóż się okazało?

„Sława jednak ma — tu cytuję już Barańskiego — swoje kolce. Któż z iniektorów wystawy mógł przewidzieć, że dzieła naszych kowali spotka w dalekim Monachium aż tak wielkie powodzenie?”

Wkrótce bowiem w drzwiach kuźni pamiętających czasy rozbioru, pojawią się zaczęli listonosze z dziwnie wyglądającymi, pełnymi gotyckich list kopertami. W listach tych, pisanych z niemiecką pedanterią, właściciele poważnych firm uprzejmie prosili kieleckiego kowala (powiemy — Herr Czaplę) o nadesłanie pełnego katalogu jego wyrobów, ponieważ zamierzają zamówić u niego właśnie większą ilość tych wspaniałości. Przy okazji proszą uprzejmie o podanie jego bankowego konta oraz firmy spedycyjnej, która mogłaby się uprzejmie zająć wysyłką.

Chryste panie, doigraliśmy się! Potrzebne nam były wystawy kowalskie? A wszystko tak dobrze szło. Do czasu, kiedy trzeba było do interesu dokładać. A oto nadzedeł czas grzybobrania, owocowania nakładów i straciłmy się zupełnie. Bo i na co nam ten kłopot? My kochamy czystą sztukę. Nie daj Boże, gdy na sztuce możemy zarobić. Od razu strach błąd nas ogarnia.

Herr Czaplę i kilku jego kolegów w dalszym ciągu kuja k'o'e, reperują bronie i plugi, wiosna idzie, a my piszemy o produkcji antyimportowej, o potrzebie oszczędzania dewiz oraz o usługach dla ludności. Niezwykle sprężysty Wydział Finansowy skrupulatnie rozlicza kowala z każdego podkutego konia, ani się nie domyślając, że niejednym z nich siedzi na worku z dolarami. To znaczy — mógłby się dzieć...”

Ano właśnie.

# Cygan nie orze?

W TĘ reporterską wędrówkę udaje się z dwoma przewodnikami. Jednym jest książka Jerzego Ficowskiego „Cyganie polscy”. Drugim — piękne wiersze cygańskiej poetki Papuszy. To są busole na reporterskim szlaku.

Lublin. Ulica Pawia. Za plotem, który ogradza parterowe domki, niespodziewanie ukazują się lasy. Mikroskopijny, jakby w milionowym pomniejszeniu przeniesiony na tę miejską posesję, prezentuje srebrne brzoźki, jałowce, sosnki...

Jestem w osiedlu Cyganów Moldawskich. W mieszkaniu prezesa spółdzielni kotlarskiej, Wasyła Michaja, oglądam niezwykłą scenę: sufit pokrywa tysiące papierowych gwiazd ponaklejanych na niebieskim papierowym firmamencie. Ściany obite dywanami o południowej, bujnej ornamentyce. Gustowne, ciemne meblowanie pokoi. Telewizor, radio.

Siadamy w głębokich fotelach. Gdy już słodkie wino sączone z kryształowych pucharów skłania do zwierzeń, próbuję poruszyć temat, który stał się teraz niezwykle aktualny: osiedlenie ludności cygańskiej.

— Cyganie polscy — mówi Wasyl Michaj — są najbardziej wędrowni ze wszystkich. Pan rozumie jaka to wielka trudność wyprowadzić wilka z lasu, obłaskawić go, przyzwyczaić do ludzi. Nas, Cyganów, stale ciągnie do wędrowania. Tak jest od tysięcy, a może i milionów lat. Nasze bogactwo — to las, woda, wolność! Uważa się, że najzamożniejsza ludność to ta, która jeździ, przenosi się z miejsca na miejsce. Mamy już coś takiego we krwi. Ale wielu z nas patrzy, obserwuje, jak żyją inni, jak im się powodzi. Jest możliwość porównania swoich losów z cudzymi. Kto ma głowę otwartą, dojdzie do ostatecznych wniosków. Myśmy te wnioski wyciągnęli nim wydano przepisy o osiedlaniu ludności cygańskiej. Już 14 lat mieszkamy w Lublinie przy ulicy Pawiej. Pracujemy, jak przystało na obywateli. Nie różnimy się chyba niczym specjalnym od innych. To żadna różnica, że pan ma niebieskie oczy, a ja czarne. Obu nas za to łączy ta sama ścieżka życia. Tyle, że jesteśmy w różnych miejscach. Gdybym wierzył w wróżby, mógłbym opowiedzieć o pana sympatiach: blondynkach i szarynkach. To byłoby na pewno trafne. Gdyby pan z kolei umiał wróżycę, mógłby mi pan o żonie, dzieciach, wnukach, chorobie, starości, śmierci. W tych słowach byłoby wiele prawdy.

— A czy nie pociągają pana wędrówki z cygańskim taborem?

— Ja się nie zapieram — tak. Najbardziej — wiosną. W maju, kiedy cały świat jest zielony, las piękny, jak miłosne marzenia, a powietrze czyste jak kryształ. Wtedy odzyna się w każdym z nas siła nieznaną i skłania do wólczy. Ale nie wolno się poddawać, trzeba zwalczać w sobie całą wielką tęsknotę za przestrzenią bez granic i swobodą przegromną.

To straszne pokusy. Ale cóż one mogą przynieść nam i naszym dzieciom? Ja, panie, dopiero teraz nauczyłem się czytać i pisać. Przedtem byłem analfabeta. Czy nasze dzieci mają nie chodzić do szkół?

Czy nie za dużo uproszczeń? Szukam więc punktów słabych:

— A jak jest z nauką dzieci? — Posyłamy je wszystkie do szkoły. Ale one mają olbrzymie trudności. Przede wszystkim nie znają języka polskiego. On jest dla nas bardzo trudny do nauczenia. Nim nasze dziecko przejdzie do drugiej klasy, musi co

hektarów gruntów. Miejscowi chłopcy uczyli ich orać, siał, bronować. Cyganki dla zarobku całą jesień chodziły kopać ziemniaki u gospodarzy. Wytworzyły się przyjazne, życzliwe stosunki między wsią a jej nowymi, egzotycznymi mieszkańcami.

Siedliska — również w hrubieszowskim. Tutaj także Cyganie mieli odwa-



Fot. Mieczysław Kołodziej

CZESŁAW KLEPACKI

## Pierwsze kroki

(Fragmenty wspomnień)

Do barszczu i zimnego kotleta otrzymałem jedynie łyżkę. Gdy się oburzyłem, kelner w brudnym kitlu odburknął:

— Wszyscy tak jedzą... Rzeczywiście — nikt nie posługiwał się widelcem ani nożem, ale niemal wszyscy „podpierali” konsumpcję szklankami „czystej”. Między stolikami krążył brodaty starzec w wojskowym płaszczu, śpiewając przy akompaniamencie balabajki kozackie pieśni. Zaleciało nagle wspomnieniami żywnych czarnozemów, młodością kresową... Miłom woli wybijałem palcami rytm ukraińskich dumek.

Ej, losie przedziwny! Po kilku latach pracy w mieście, po dyktorskim stolku w Ministerstwie znów oto rzuciłem mnie w rodzinę niemal strony! Zamknięte koło? Powrót na szlaki młodości?

Wieczorna atmosfera hrubieszowskiej gospody nie sprzyja refleksom. Ani „glej” Ministra dający przywileje wynikające z Uchwały nr 102, ani skierowanie dyrektora Wojewódzkiego Zjednoczenia nie gwarantowały noclegu. A miejsc w hotelu nie było. Po długich targach przysparzałem mi dyrektor tutejszego oddziału Banku Rolnego klucze na miasto, na nieproszonego gościa oraz na władze, które go tu delegowały. Fakt faktem, że był on pierwszą urzędową osobą, z jaką zetknęłem się na hrubieszowskiej ziemi. Widocznie nie należał do ludzi o najlepszej ręce, skoro następnego dnia dyrektor Inspektoratu PGR przyjął mnie również z ponurą miną:

— Do ministerialnych bubków zaufania nie mam i nikt mnie do tego nie zmusi — oświadczył wręcz. — Ma pan do wyboru dwa gospodarstwa, oczywiście najgorsze, na lepsze to i na miejscu chętnych znajdziemy...

Na obiad wybrałem się z głównym księgowym Inspektoratu. Mój przewodnik, skąpy w słowach, nie narzącał się z komentarzami, jechalismy więc w milczeniu, każdy na swój sposób przeżywał krajobraz zgliszcz, porośnięty bujnie ioplanami, polacie odlogów, ponurą pustkę równinnych pól. Cóż wiedziałem o tej ziemi — poza tym, że urodzajna i zaniedbana — cóż wiedziałem o jej historii, ludziach? Zdecydowałem się na gospodarstwo równinne o wspaniałych, prawie lesowych ziemiach. Sześćset

(Dokończenie na str. 4)



MICHAJ BURANO  
Fot. Ryszard Krejchib

— A dzieci ciągnie do wędrówek?

— A to zależy. Zresztą, opowiem panu taką znamieną historię. Otóż prawie w każdą niedzielę wyjeżdżamy autobusem MPK do lasu w Zemborzach. Jednego razu mówię do dzieci przed wieczorem: rozpalamy ognisko i przenocujemy pod gołym niebem. Wtedy te dzieci, które urodziły się w taborze cygańskim, aż skakały do góry z radością, tak im to się podobało. Inne zaś posmutniały, potem zaczęły płakać i prosiły, aby wrócić do domu, nie nocować w lesie, bo się boją wilków, które mogą je pożreć. Ot widzi pan, które mogą je pożreć. Ot widzi pan, co robi wychowanie, przyzwyczajenie. My już jesteśmy nie tymi Cyganami, co dawniej...

najmniej dwa lata powtarzać pierwszą. Wy potraficie pomóc dzieciom w nauce, my nie umiemy. Zdarza się, że nasze dzieci nie mogą już uczęszczać do normalnej szkoły. Nie rezygnujemy jednak z nauki i posyłamy je do szkoły wieczorowej.

Ta adaptacja ciągle wydaje mi się zbyt bezkonfliktowa. Szukam więc jakichś ukrytych powiązań z dawnym światem włóczęgowskim, z organizacją władz cygańskiej społeczności.

— Daniny, naturalnie, płacicie swemu królowi...

— Królestwu, panie. Rzeczypospolitej! Jak pan nie wierzy, proszę sprawdzić w księgowości: w 1963 roku zapłaciłmy 100 tysięcy złotych podatku.

— Ale króla macie?

— W czasie wędrówek — mieliśmy. Teraz nie. Naszą władzą jest Miejska Rada Narodowa. Jej podlegamy.

— A co pan sądzi o królu?

— Nie dobrego nam nie zrobił. Nie wyuczył nas ani na lekarzy, ani na inżynierów, ani na innych fachowców. Nawet tytuły mistrzów kotlarskich musieliśmy teraz zdobywać zdając egzaminy. A co nam dała władza króla? Nie umieliśmy pisać i czytać, byliśmy odsunięci od normalnego życia, od postępu, który nas omiął.

Zadzwonił telefon. Wasyl Michaj podniósł słuchawkę. Zaczął rozmawiać po cygańsku. Po chwili przybiegła jego żona i uradowana coś mówiła do telefonu.

— Dzwonił syn, Burano, ze Szwecji. Pan wie, on jest artystą, śpiewakiem. Ma już sławę taką, że i w Paryżu go słuchają, i w Sztokholmie, i w wielu innych stolicach. On reprezentuje nasze artystyczne tradycje. Jego życie można tylko pozazdrościć. W Szwecji kupił sobie auto. Przyjeżdża z nim do Lublina. Stęsknił się za nami, więc zamówił rozmowę międzynarodową.

WĘDRÓWKI — część druga. Reporterski szlak wiedzie tam, gdzie dostrzec można chęci i osiłowania Cyganów przejścia do osiadłego trybu życia, do zadowolenia się, stałej pracy. To są obszary nadziei.

Hrubieszowskie czarnoziemi. Terenówka. Podworski pałac wyremontowany z funduszu rady narodowej. Mieszkają w nim cztery rodziny cygańskie. Otrzymały zapomogi, opały na zimę, a dzieci — książki do nauki. Cyganie, jakby na przekór serenade „Cyganie nie sieje. Cygan nie orze, gdzie tylko spojrzy tam jego zboże”, poobsiwiali pszenicą i żytem po kilka

gę związania swej przyszłości z pracą na roli.

Jesienią obserwowałem scenę, gdy Rudolf Janiszewski pokazywał Cyganowi jak powinien zbudować kopiec na kartofle, aby bułwy przechowywały się w nim dobrze. Natomiast inny gospodarz, Antoni Dobaczyński, demonstrował siew nawozów sztucznych i

(Dokończenie na str. 5)

BRONISŁAWA WAJS  
(PAPUSZA)

## Jestem ja Cyganka biedna

Jestem ja Cyganka biedna, nie mam szczęścia, nie mam nic. Nieszczęście mi przyszło żyć, bo nie umiem czytać prawie, pisać prawie nie potrafię. Kiedym była młoda jeszcze, było we mnie serce większe. Oj, jak ja się uczyć chciałam czytać i pisać pięknie! Jakże ja chciałam śpiewać cygańską piosenkę: — *Cygański koń już czeka, przed nami droga daleka.* — Jakże ja chciałam nieraz cygańskie wiersze zbierać, o życiu cygańskim śpiewanie... Ale nam żyć nie dają i psami nas nazywają. O, wielcy, biedni Cyganie! I jakże wam żyć na świecie, jeśli czytać ani pisać nie umiecie? Wszyscy Cyganie przemną i legną [w grobie,

nie nie zostawią po sobie. A ja piszę tak, jak umiem, chociaż sobie poplakuje, żeby co zostawić ludziom w darze, żeby znał mnie świat, żeby [powtarzał,

że była Cyganka jedna, nieszczęśliwa, bardzo biedna, chciała czytać, pisać pięknie, cygańskie wiersze mówić, śpiewać cygańską piosenkę: — *Cygański koń już czeka, przed nami droga daleka* (...)

Przełożył Jerzy Ficowski

# Pierwsze kroki

(Dokończenie ze str. 3)

pięćdziesiąt hektarów, kilka baraków mieszkalnych, kilka szop w charakterze budynków inwentarskich oraz ponad milion złotych strat w ciągu roku. Mój poprzednik pracował tu za ledwie trzy miesiące. Oczywiście — w takim czasie nie zdążył nic zrobić. Kompletnie jednak stracił zaufanie i szacunek załogi. Połowa ludzi z kierownikiem na czele stawiała się rano do pracy w stanie dalekim od trzeźwości.

Za parę dni były święta wielkanocne. Pojechałem do Warszawy, aby zabrać rzeczy. Koledzy z Ministerstwa, gdy im zdałem relację ze swych poczynań mówili, że nie wytrzymam dłużej niż trzy miesiące. Jakże blisko byłem przegranej...

Kiedy w drodze powrotnej wysiadłem w Hrubieszowie z pociągu, aby przesiąść się na ciężarówkę, pierwszą wieścią, jaką powitał mnie mechanik gospodarstwa pełniący jednocześnie funkcję kierowcy, było:

— Ubiegłego noży zabito poprzedniego kierownika...

Jak się dowiedziałem, poprzedniego, świętecznego dnia w gospodarstwie były chrzciny. Zaproszono również mego poprzednika. O jego związkach z żoną traktorzysty wiedzieli wszyscy. Mąż zebrał kolegów, wywołali kierownika z domu, skopali na śmierć...

Pogrzeb, aresztowanie, proces. Zginął człowiek, a ja na same wiosenne siewy straciłem czterech traktorzystów i mechanika. Nie ma czego ukrywać — bałem się. Jakże cięliutkie wydawały mi się atrybuty władzy kierownika wobec tych faktów i tych ludzi. Pokój w którym spiałem, nie miał kłamek ani zamka. Rozumiałem, że dorobienie ich byłoby nierównym widomym znakiem słabości. Na noc wieszale wien na drzwi krzesło, stawałem na nim miednicę, do miednicy zaś wkładałem różne drobne garnki. Taki swoisty system alarmowy...

## Jedno wyjście

Aby zrozumieć w pełni położenie kierownika gospodarstwa na hrubieszowsko-tomaszowskich rubieżach w tamtych latach, trzeba wiedzieć, że o jakiegokolwiek wymianie ludzi nie mogło być mowy. W każdym gospodarstwie brakło przynajmniej 60 procent pracowników. Do powiatowego miasteczka — 50 kilometrów fatalnych dróg, do posterunku — 5 kilometrów, telefon czynny jedynie do godziny 15, poza ciężarówką żadnych środków lokomocji. Było więc jedno wyjście: oprzeć się na tych ludziach jacy są, z nimi pracować. Ba, ale jak pracować? Jaki zastosować klucz, jaką metodę, aby nie podzielić losu poprzednika? Ostro, po wojskowemu (ostatecznie — partyzantka, na froncie, aż do Berlina, byłem niezłym ogniomistrzem dział przeciwpancernych). A może łagodną perswazją, wyrozumiałością, przemykaniem oczu na pijaństwo, kradzieże, nierobstwo? Może oddechać, rozpatrzeć się, wejść do środka tego zamkniętego, żyjącego środowiska małej grupki ludzi, którzy mimo przeróżnych wewnętrznych waśni zawsze są zgodni, że pierwszym wrogiem jest kierownik? W takim razie, jak zrozumieć śmierć mego poprzednika co powiedzie o kierowniku sprzed roku, który do niczyjej żony się nie zalecał, a którego znalezione po paru miesiącach przyorane go w polu? Ale czy stosując metodę ostrej, wojskowej dyscypliny jeszcze bardziej nie zaostrze sytuacji naradzając się — w najłagodnym wypadku na to, że większość załogi „wyfrunie” do innych gospodarstw?

Wiosenne noce są krótkie i nieraz rano zastawał mnie na podobnych rozmyśleniach. W rezultacie postanowiłem trzymać się pierwszego sposobu z tym jednak, że w miarę możliwości będę się starał usilnie o poprawienie sytuacji gospodarczej, o lepsze zarobki. Ci ludzie nie pracowali, oni harowali. Maszyn mało, a większość zniszczonych, duża część pracy wykonywano się ręcznie, nie było premii, nie było mieszkań, nie mówiąc już o przyzwyczajeniu spędzaniu czasu. Takie warunki przez parę lat otepiałą. Ludzie napływali, ze wszystkich stron, na swój sposób nieszczęśliwi,

przez los przetasowani, mało zaradni. Żelazne łózko, dwa koce, odzież ochronna, która przeważnie była również wizytową, słonina i wódka. Wódka i słonina. Wódka i rozróby. Gra w oczko i mordobicie. Ileż to razy zadawałem sobie pytanie: co w tym wszystkim jest przyczyną, a co skutkiem? Pytanie, na które dopiero czas przyniósł odpowiedź.

## Siewy i ludzie

Na razie był gorący okres wiosennych siewów. Moich pierwszych w życiu siewów. Szkołę agronomiczną ukończyłem parę miesięcy przed wybuchem wojny, nie miałem czasu, ani okazji wypróbować sił. Dopiero teraz, po 10 latach...

Siedząc w Ministerstwie, byłem jednak przekonany, że o rolnictwie, na-

kąta mruknął: „słusznie”... Inny dodał: — Skończyć z pijaństwem i rozbijaniem ciągników.

Inny mówił: — A ty, baranie, nie jeździłeś po pijanemu?

Ucieszył mnie ogromnie fakt, że część załogi stanęła po mojej stronie. Ale wojna trwała. Przyjechali przedstawiciele Zarządu Okręgu, Komitetu Powiatowego partii. Dramatyczne dyskusje — stary pracownik, aktywista, pierwszy wypadek...

Wypadek nie był pierwszy. Podobne wypadki zdarzały się Kazimierzowi często. Zamieszany był również w zabójstwie poprzedniego kierownika i właściwie nie bardzo wiem, dlaczego nie odpowiadał przed sądem. Ostatecznie wniosek utrzymano na zebraniu podstawowej organizacji partyjnej. Wybrano nowego sekretarza, Kazimierza odwołano z Plenum Zarządu Okręgu, pozostał jedynie przewodniczącym rady zakładowej.



Rys. J. Lis

## Kult siły

wiel tym praktycznym, wiem dużo. Jako dyrektor, któremu podlegało kilkadziesiąt podobnych gospodarstw, podejmowałem decyzje szybko, w głębokim przekonaniu, że są słuszne. Tu dopiero pojawiły się sekły. Drobny fakt: w gospodarstwie zastałem 15 hektarów konicyzny, która w większości zginęła. Wyorać czy pozostawić? O tę konicyznę zagadywali brygadziści, ładem jednak swego zdania nie chciał wypowiedzieć.

Ludzie... Centralną postacią w gospodarstwie był Kazimierz. Brygadziści, sekretarz organizacji partyjnej, przewodniczący rady zakładowej, zastępca dyrektora, członek Plenum Zarządu Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Rolnych. Już samo nagromadzenie tych godności coś mówiło. Kazimierz rozsiewał wokół siebie atmosferę wyższych stosunków i wielkich możliwości. W zgodnej opinii załogi uchodził za człowieka, który na tym terenie wszystko może, który spławił niejednego kierownika. Niestety, ku memu wyraźnemu zmartwieniu od początku nie rozumieliśmy się. Punktualnie przychodzenie do pracy, wykonywanie poleceń nie było jego najsilniejszym przyzwyczajeniem. Nie znoził obok siebie żadnego zwierzchnika, żadnej władzy. Byłem pewien, że przedzie czy później dojdzie do konfliktu. Nie sądziłem jednak, że tak wczesnie.

Pewnego wieczoru, gdy ciągniki zjechały z pól, stwierdziłem, że jednego brak. Wsiadłem do samochodu, pojechałem szukać. Znalazłem. Mój zastępca wraz z traktorzystą pilni na umór w większym sklepie. Kazalem odwieźć ich samochodem, sam odprawałem ciągnik. Na drugi dzień przedstawiłem sprawę całej załodze. Mój wniosek — Kazimierz od dzisiaj przestaje być brygadziastą.

Patrzę po ludziach, unikają mego wzroku, niektórzy wychodzą. Ktoś z

Tutejsze środowisko miało olbrzymi kult siły fizycznej. Dziecko które nie bardzo wiedziało, kim był Kościuszko, na pamięć znało nazwiska i sukcesy największych osiłków w okolicy. W naszym gospodarstwie zaliczał się do nich niewątpliwie mój woźnica. Chłop o wadze 120 kilogramów, wysoki ponad 2 metry — rzeczywiście nie miał równego sobie. Na szczęście, natura — za co jestem jej do dziś ogromnie wdzięczny — obdarzyła mnie słuszną racją budową ciała i niezłą siłą. Po stanowiliśmy i te dodatkowe atrybuty wykorzystywać. Okazała nadarzyła się niedługo. Kobiety sortowały ziemniaki. Zauważyłem, że jedna z gabli ma dwa zęby mocno wygięte w dół i przcina kartofle. Powiedziałem do woźnicy:

— A wyprostuj te gable, dla pana to przecież drobiazg.

Podsłoczył raz — próbował nogą, a sprychacz kamieniem — nie wychodziło.

— Ejże — stwierdziłem — coś mi się widzi, że ta wasza siła to postrach na dzieci...

Wziąłem gable do rąk, powoli, jeden za drugim przetrząsałem, wyprostowałem zęby. Nigdy nikt jeszcze nie sprawił mi takiej owacji. A po okolicy poszła wieść: gable w rękach prostuje...

Powtarzałem sobie często: trzeba żyć z takim ludźmi, jacy są. Aby żyć, pracować, trzeba ich poznać, zrozumieć, zbliżyć się. Po ostatnich wydarzeniach mogłem już spróbować. Zaglądałem do mieszkań. W jednym z baraków spotykałem rodzinę: mąż, żona, troje dzieci. Po drugiej stronie mieszkała 30-letnia kobieta z 3-letnią córeczką.

— Gdzie mąż?

— Nie mam...

Okazuje się, że jest to... druga żona. Co ciekawie cała ta dziwna rodzina żyła zgodnie, wspólnie uprawiała działki przyzagrodowe, mąż, gdy rąbał drzewo lub nosił wodę, robił to dla obu.

Potępiąc tego nie miałem prawa, wyczulem jednak, że obie kobiety są zupełnie niezależne od wspólnego męża. Matce 3-letniej córeczki zaproponowałem stulą pracę w obozie. Miała niezły zarobek przez cały rok. Kto wie, czy fakt ten nie pomógł mi w równym przynajmniej stopniu, co gable...

W sąsiednim baraku pokój z kuchnią zajmowały dwa małżeństwa — ojciec z matką oraz syn z żoną. Ta żona jakoś zupełnie nie pasowała mi do tego środowiska. Okazuje się, że przywiozła ją z miasta wojewódzkiego, gdzie służył w wojsku. Była żoną kolegi. Ponieważ jednak mąż miał jeszcze dwa lata służby, a mój, hrubieszowski, kończył — przyjechała z nim. Dziewczyna po Technikum Handlowym chodziła do pracy w pole, gdy tymczasem w gospodarstwie nie było komu prowadzić kiosku spożywczego. Długo nie mogłem namówić jej jednak na funkcję sprzedawczyni. Pracowała krótko. Przy pierwszym remanencie wyszło poważne manko. Okazało się przy tym, że pani ta uciekła z miastem nie tyle od męża, ile od kary więzienia za defraudację...

## Nazajutrz chrzciny

Inna rodzina: małżeństwo w którym żona starsza o lat 15. Chłopak miejscowy, po wojsku, nie miał nic, ona — jako tako zagospodarowana, dorabiała krawiectwem. Stolał się, zamowil i ożenił. Po pewnym czasie do krawcowej przyjechała młoda siostra. Akurat wywazeli z więzienia jeden z pracowników (3 lata za pobicie milicjanta) — pobrali się. W PGR nie należy do rzadkości, że dwie, a czasem trzy rodziny prowadzą wspólne gospodarstwo. Przy zgodnym współzyciu łatwiej podzielić czas między prace w gospodarstwie, na działce i w kuchni. Szwagrowie o których mówię, prowadzili takie właśnie wspólne gospodarstwo. W pierwszym małżeństwie urodziło się dziecko. Zaproszono mnie na chrzciny.

Podczas mego pobytu była to pierwsza tego typu uroczystość. Szczerze mówiąc, na wspomnienie chrzciny mego poprzednika zrobiło mi się zimno w krzyżu.

W przeddzień uroczystości szwagrowie zabili wieprzka, jak kaže też tradycja, mocno przy tym popili. W nocy wpada do mnie młodsza z siostr, błaga o ratunek.

— Panie kierowniku, mąż dostał białej gorączki, wszystkich pozabija...!

Cóż było robić — poszedłem.

Na środku kuchni półwka wieprzka obłana naftą — wokół półtuczone butelki z wódką (zakupy na chrzciny), po tym wszystkim zaś tańczy pijany gospodarz...

O zdziwo, moje perswazje pomogły, rozebrał się, poszedł spać.

A nazajutrz — chrzciny.

## Iść czy nie iść?

Ostatecznie wytłumaczyłem sobie, że jeśli ktoś ma ochotę, może znaleźć ku temu sto okazji. Nie pójde — zrozumieją to jako pogardę albo strach. Jedno złe i drugie nie najlepsze.

Poszedłem...

W progę wita mnie orkiestra, rżnąc marsza, aż barak drży w posadach. Przez dwa pokoje ustawione stoły, a na nich stoły kielbas palcem napychanych (gysznel) chleba i bardzo, bardzo dużo wódk. Kieliszków wówczas nie używano, pilnmy szklankami w tempie, które po godzinie zwala z nóg najsilniejszego. Nie jestem ułomkiem, ani abstynentem, szybko jednak musiałem spasować. Obańczyłem, jak kaže zwyczaj, matkę chrzestną i poszedłem. Myślałem po drodze, że chyba najgorsze mam już poza sobą, skoro siewy zrobione w terminie, ludzie nie pouciekali, a ja zdrow i cały — choć dalbóg — pijany!...

Czesław Klepaeki

Na podstawie wspomnień kierownika jednego z PGR-ów.

# Ojciec, synowie i muzyka

**C**ZERSTWY, zdrowy, silny fizycznie interesuje się aktualnymi sprawami i orientuje się w różnorodnych dziedzinach życia współczesnego. Jeszcze dwa lata temu dojeżdżał codziennie autobusem do Szczepieszyna, gdzie prowadził Państwowe Ognisko Muzyczne oraz uczył muzyki i śpiewu w Liceum Pedagogicznym. Teraz pracuje „na pół etatu” w Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu.

Gdy idzie ulicą z dwoma swoimi synami, nikt nie powiedziałby, że jest od nich starszy.

Naprawdę prof. Stanisław Bryk ma o wiele więcej lat, niż na to wygląda. Ludziom zwykliśmy życzyć stu lat. Kiedyś prof. Bryk obraził się na takie życzenia. — Chcecie, bym żył jeszcze tylko 16?

Barkowski (takie było jego prawdziwe nazwisko) stracił rodziców w nieznanym okolicznościach, jako pięcioletni chłopiec. Prawdopodobnie zmarli w czasie epidemii, która dziesiątkowała ludność Hrubieszowa w końcu lat osiemdziesiątych XIX w. Wychował się u obcych. Od roku 1894 był już zupełnie samodzielnym człowiekiem. Przez 9 lat uczęszczał do rosyjskiej Wojskowej Szkoły Muzycznej przy 68 Boroński pułku piechoty w Zamościu. Po jej ukończeniu, dzięki zdolnościom i pracowitości, został zastępcą pułkowego kapelmistrza.

Jednocześnie w r. 1904 zorganizował, a potem prowadził orkiestrę dętą młodzieży wiejskiej w pobliskich Labuńkach. Był to właściwie pretekst służący do zamaskowania działalności o charakterze patriotycznym i rewolucyjnym.

W pułku borońskim istniała grupa rewolucyjna. Stanowili ją: Barkowski — Bryk, Korolenko, Przybylski i dwaj Kozacy — bracia Suchorowsy. W początkach lipca 1907 roku policja i żandarmeria carska wpadły na ślad działalności rewolucyjnej grupy w pułku. Barkowski ostrzeżony przez córkę pułkownika żandarmerii, którą uczył muzyki, opuścił w nocy Zamość i poszedł pieszo do Rejowca, gdzie znajdowała się wtedy najbliższa stacja kolejowa. W cywilnym ubraniu, z fałszywymi dokumentami (na nazwisko Bryk), które każdy członek grupy miał przygotowane, pojechał w głąb imperium carskiego, by ukryć się w jego niezmiernych przestrzeniach.

Osiadł w Saratowie. Przez kilka miesięcy pracował tylko dorywczo. Dopiero w październiku 1907 roku zaangażowano go jako kapelmistrza 228 chwajnińskiego pułku piechoty stacjo-

nującego w Saratowie. W parę tygodni później zatrudniono go także jako nauczyciela muzyki i śpiewu w „Saratowskim Technicznym Żelaznodrożnym Uczelnice przy Riazansko-Urajskiej żelaznej dorogie”. W tym mieście założył rodzinę.

W jesieni 1909 roku wyjechał do Pietrowska w gubernii saratowskiej. Tutaj uczył muzyki i śpiewu w szkole realnej. Zorganizował też własnym kosztem orkiestrę dętą złożoną z dzieci opuszczonych przez rodziców i sierot. W kilka miesięcy po wybuchu I wojny światowej Stanisław Bryk został zmobilizowany i wcielony do 145 zapasowego pułku piechoty w Pietrowsku, gdzie powierzono mu zorganizowanie orkiestry wojskowej. W 1916 roku wyjechał wraz z całą jednostką na front. Udało mu się jednak uzyskać zwolnienie z wojska ze względu na zły stan zdrowia.

Po Rewolucji Październikowej Komitet Rewolucyjny w Pietrowsku powołał Bryka z powrotem do wojska, również na stanowisko kapelmistrza, powierzając mu jednocześnie obowiązki dyrygenta orkiestry symfonicznej w Państwowej Szkole Muzycznej w tym mieście. W Armii Czerwonej był krótko, ale w szkolnictwie radzieckim pracował prawie 4 lata.

We wrześniu 1921 roku jest już w Polsce. Zamieszkał w Zamościu, mieście, z którego wyszedł pamiętnej nocy lipcowej 1907 r., by udać się w głąb imperium carskiego. Stopniowo zdobywał swoją owocną pracą coraz większy szacunek i uznanie. Prowadził orkiestrę w Szkole Rzemieślniczej, potem jednocześnie w Seminarium Żeńskim, a także w Państwowym Gimnazjum. Pozostał jednak przy swoim przybranym nazwisku — Bryk.

Okupację spędził w Zamościu podobnie, jak jego żona i dwaj synowie. Przez dwa miesiące więziony był w gestapo. Zwolniono go na skutek podległego wieki i interwencji znajomego, przychylnie do Polaków nastawionego właściciela zamojskiej fabryki mebli, Niemca, Zipsera.

Bezpośrednio po wyzwoleniu, gdy Stanisław Namysłowski przebywał jeszcze po drugiej stronie frontu, za Wisłą, Stanisław Bryk zajął się Orkiestrą Wojskową, prowadził próby, dyrygował nią podczas koncertów. Pomagał mu w tym Wacław Splewiński. Jeszcze 5 października 1945 roku w Towarzystwie Muzycznym w Lublinie grał Namysłowski pod batutą Bryka mazurek i kujawiaki Karola Namysłowskiego, utwory Montuszi, Szopena, Verdiego, Aleksandra Bryka i innych. Od 1945 do 1957 r. pracował Stanisław Bryk w Państwowym Technikum Mechaniczno-Elektrycznym w Zamościu, gdzie prowadził orkiestrę. Potem do 1962 roku uczył w Liceum Pedagogicznym i Ognisku Muzycznym w Szczepieszynie. Ostatnio, od dwóch lat, jest na emeryturze. Pracuje jednak na pół etatu w Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu, gdzie prowadzi m. in. zespół muzyczny.

Powojenna jego działalność nie ograniczała się do pracy w szkole. W 1949 roku założył Bryk w Sitańcu Społeczne Ognisko Muzyczne, które w 1957 r. po upaństwowieniu, przeniesiono do Szczepieszyna. Codziennie dojeżdżał do tej miejscowości autobusem, mimo że liczył ponad 80 lat. Łączył wtedy

pracę w Ognisku z pracą w Liceum Pedagogicznym.

Stanisław Bryk jest również kompozytorem. Utwory jego — to przeważnie muzyka popularna na orkiestrę: żywe i dziańskie polki, ogniste mazury, marsze, polonezy, pieśni, krakowiaki, walce, większe kompozycje koncertowe nierzaz związane tematycznie z Zamościem lub regionem zamojskim. Za swoją działalność prof. Stanisław Bryk uzyskał wiele odznaczeń.

Synowie jego — to również muzyk; Aleksander jest znanym w kraju kompozytorem, prowadził także Średnią Szkołę Muzyczną w Lublinie, Tadeusz jest dyrektorem Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Zamościu. Obydwaj studiowali w granicy: pierwszy w Turcji, drugi w Paryżu. Gdy idą razem, ci, którzy ich nie znają, często myślą, że to trzej bracia, tak mało się różnią...



Fot. Andrzej Polokowski

Na zdjęciu: fragment Starego Zamościa — ul. Ormiańska

TADEUSZ ROSS

## Poezja

Poezja

Gdzie jest? W terkotaniu zegara?  
W moich żyłach, gdzie krew kipi  
albo wolno się przelewa?  
W czerwieni liści?  
W Staffa wysokich drzewach?  
W Apollinaire'a alkoholach?  
We mgle, która spada szara  
na to mlasko moje rodzinne.

[na pola,

na sosny i na chryzantemy?  
Gdzie jest poezja?  
Czy jest w pieśniach i obłokach,  
w twoich dloniach ciepłych,

[serdecznych

w twoich oczach,  
błękitnooka,  
w twoich ustach rozchylonych niby  
[w przystani bezpiecznej?

Ja myślę, że poezja jest  
[we wszystkim.

To jest kwiat, a zarazem  
choroba duszy ludzkiej — zaraźliwa.  
Ma więcej niż tęcza kolorów.  
Różnymi imionami ją nazywasz.  
Ja wiem tylko, że jest na nią

[ciężko chory.

I wiem, że ją przeżywam w sobie,  
w krwi,  
w terkotaniu zegara,  
w objęciu twoich dloni, mila,  
ona mnie zabrała,  
zagarnęła,  
podbija,  
To jest moja nagroda i kara.

## Cygan nie orze?

(Dokończenie ze str. 3)

wyjaśniał, jakie są zasady nawożenia. Dobaczyński wstawił się za Cyganami i prosił, abym poruszył sprawę otrzymania przez nich kredytów z Banku Rolnego w drodze wyjątkowej — na zagospodarowanie dzierżawionej ziemi.

Kraśnik. Osiedliło się w nim 20 rodzin cygańskich. W sumie — 138 osób! Duża życzliwość władz powiatowych, przemysłowa, rozsądna pomoc.

Patronat nad Cyganami sprawuje Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych. Nowym mieszkańcom zakupiła łóżka, krzesła, szafy, stoły, koldry, koce, garnki. Mieszkają w specjalnie wzniesionym, murowanym baraku wyposażonym we wszystkie urządzenia higieniczne z łazienkami i włączanie. Współżycie z ludnością układa się dobrze. Było wprawdzie jedno nietaktowne odezwanie się pani doktor, która oburzyła się, że cygańskie dzieci mają chodzić do tego samego przedszkola, co jej, ale spotkało się to z ostrą odprawą.

Poniatoła. Nawet wytrawnym robotnikom tamtejszej fabryki może za imponować solidność i dokładność w robocie Cygan, Edward Waśkowski. Za swą dzielną postawę w pracy otrzymał

mał teraz dla rodziny dwa pokoje z kuchnią w nowym budownictwie.

W Puławach Cyganie uczęszczali na kurs dla analfabetów. Kilkanaście osób nauczyło się pisać i czytać. Większość z nich pracuje. Są stróżami w spółdzielni „Czujność”, a inni robotnikami.

Tyle kronikarsko odnotowanych przykładów. Każdy z nich jest wyrazem trudnej, skomplikowanej, wewnętrznej walki z naturą cygańskiego stylu życia. Jest przejawem zwycięstwa rozumu nad instynktem.

**A**TERAZ trzecia trasa moich wędrówek cygańskich szlakiem osiedleńcy. Obszar tradycji koczowniczych, których nie myślą się wyrzec. Korzystają, i to chętnie, z pomocy władz z dobrodziejstw uchwały Prezydium Rządu w sprawie pomocy ludności cygańskiej w przechodzeniu na osiadły tryb życia. Ale traktują to jako formę doraźnej korzyści. Jeśli ktoś daje — trzeba brać pieniądze, odzież, sprzęt. W zimie warto także zamieszkać. Na ogół zawsze tak robili. Tyle, że za własne pieniądze. Teraz — niech się martwią o to rady narodowe, niech ponoszą związane z tym koszty. Zebrali się już nawet na wie-

cu w Sokolowie Podlaskim i postanowili opuścić wiosną zimowe leża. Do głosu doszła hierarchia cygańska: wóltowie, którym osiadły tryb życia odbiera haracz płacony przez wędrujących obozy.

Buntują się także niektórzy meżowie, którzy nie chcą mieć stałej pracy i utrzymywać rodzin. Przyzwyczajeni do tego, iż było to obowiązkiem żon, które wrożeniem, kradzieżami zdobywały wyżywienie dla całej rodziny, porzucają teraz pracę. Biciem żon egzekwują obowiązki dawnych praw, przywracanie swej próżniaczej pozycji. Magnes taboru, wędrowek, życia bez pracy, przyciąga najmniej oświecone jednostki, element najbardziej, najbardziej podległy władzy wóltów.

Czy wyruszą w drogę taborami? Jeśli nawet — władze nie będą pozwalać.

Pcmoc władz i sympatia ludności towarzyszyć będzie natomiast Cyganom osiadłym. Tym z ulicy Pawiej w Lublinie, tym którzy sieją zboże, pracują w fabrykach, tują kamienie po szosach... Tym odważnym, dzielnym ludziom, którzy w wewnętrznej, trudnej walce potrafią łamać anachroniczne już dzisiaj tysiącletnie prawa wędrujących taborów.

Romuald Karaś

# List otwarty



(...) Uczestnicy seminarium młodej inteligencji czterech województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego zorganizowanego w Lublinie przez ZSP i Ministerstwo Kultury zwracają się do Was, Koleżanki i Koledzy, z apelem inicjowania poczynań służących kształtowaniu postaw społeczno-politycznych i oblicza Waszego środowiska.

Wasz udział w służbie kulturalno-oświatowej, w wyjazdach ekip medycznych, rolniczych i technicznych, pomoc ośrodkom kultury, uczestnictwo w studenckich obozach naukowo-badawczych, praca w kołach regionalnych itp. przyczynią się w znacznym stopniu do rozbudzenia życia społeczno-kulturalnego wsi i miasteczek naszego kraju. Udział ten jest okazją do poznania problemów przyszłego miejsca pracy. Waszej

aktywności społecznej powinna towarzyszyć troska o rzetelne przygotowanie do zawodu, pogłębianie kwalifikacji, troska o wszechstronne rozwijanie swojej osobowości. Społeczeństwo wsi i miast, zakłady pracy widzą w Was nie tylko dobrych fachowców, ale również inicjatorów życia społeczno-kulturalnego... (...)

## Drugie miasto rodzinne



Mgr JERZY CYWONIUK pochodzi z Białegostoku, ale drugim miastem rodzinnym stał się dla niego Lublin. W Lublinie pracuje w Wojewódzkim Domu Kultury. Pomimo stosunkowo młodego wieku

pełni funkcję zastępcy dyrektora WDK. Przez wiele lat pracował aktywnie w Zrzeszeniu Studentów Polskich, m. in. sprawował funkcję przewodniczącego Rady Okręgowej ZSP w Lublinie. To właśnie za jego kadencji zostało zorganizowane pierwsze seminarium młodej inteligencji czterech województw a jeszcze przedtem studenci niejednokrotnie włączali się we współpracę województw. Do tradycji weszły rajdy studentów lubelskich po Ziemię Elekcyj. Nawiązano ścisłe kontakty z Ekiem, Olekiem, Goldapią. W wyniku — wielu absolwentów lubelskich uczelni stało się mieszkańcami tych miejscowości. Szczególnie Elk całą „kolonię lubelską”.

— Podczas seminarium dyskutowano wiele o potrzebie włączania się młodej inteligencji w życie społeczne miasteczek i wsi naszych województw — mówi J. Cywoniuk. — Sadzę, że problem niechętnego uczestniczenia w życiu społecznym małych miejscowości, walczenie nie istnieje. Uważam, że tylko bardzo nieliczne jednostki świadomie izo-

(Dokończenie na str. 7)

## Nie tylko liczby



MARIAN GRZYBOWSKI, kierownik Powiatowej i Miejskiej Biblioteki w Kozienicach ma lat 34; w placówce tej pracuje dopiero od roku 1960 (przedtem był nauczycielem w liceum pedagogicznym).

Może jednak opowiadać o swej bibliotece godzinami. Powody do dumy są. Powiat ma 2 miasta i 29 gromad. W powiecie jest — oprócz bibliotek miejskich — 21 bibliotek gromadzkich i 10 filii bibliotek gromadzkich. W roku ubiegłym wypożyczyły one 210 500 książek, z czego w samych tylko Kozienicach (6,5 tys. mieszkańców) prawie 30 tys.

M. Grzybowski tego czasu szczególnie ruch kulturalny, który się koncentruje wokół bibliotek. W powiecie działa 19 kół przyjaciół biblioteki: 18 we wsiach i jedno w Kozienicach. To miejskie grupuje ponad 50 osób, w tym lekarzy, prawników, inżynierów. Pomagają oni w opracowaniu zestawów książek do zakupu. Służą pomocą bibliotekarzom przy rozorządzeniu literatury fachowej. A wieś kozienicka coraz częściej zgłasza się do biblioteki nie tylko po beletrystykę, ale i po książki rolnicze.

Przy kołach istnieją sekcje dziecięce. Młodzież pomaga bibliotekarzom w oprawianiu książek, roznosi książki do osób starszych lub chorych, które nie mogą przyjąć do biblioteki, odbiera je od czytelników zbyt długo przetrzymujących jakieś przyjeżdż. Itd.

Przez dwa lata w bibliotece prowadzony był kurs języka angielskiego dla dzieci 10—14-letnich. Wykładał inżynier chemii, uczyło się 21 osób, płacili niewiele, po kilkanaście złotych miesięcznie. Teraz M. Grzybowski chce uruchomić nowy kurs. Myśli też, jakby reaktywować Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Kozienickiej, który kiedyś tu istniał, w którym sam zresztą wstępował. Ale czas mu na to niebyleż pozwała, brak jest fachowego kierownictwa, no i salka biblioteki też się do tego nie nadaje. Jakoś to jednak trzeba zrobić. Jak? Na to p. Grzybowski nie wie, jak odpowiedzieć. Wie natomiast, że sami etatowi pracownicy kultury wszystkiego nie zrobią...

# Dlaczego razem?

Co może łączyć inżyniera z Chelma i lekarza z Suwałk, prawnik z Sanoka i polonistę spod Radomia? Jakie wspólne sprawy, wspólne problemy? Czy tylko te charakterystyczne dla całej inteligencji w Polsce? Jeśli tak, to dlaczego lekarza z Suwałk nie łączymy z prawnikiem z Sosnowca, a inżyniera z Chelma z polonistą z Wałbrzycha? Dlaczego „sojusz czterech”? Województwa: lubelskie, białostockie, kieleckie, rzeszowskie nigdy nie stanowiły odrębnego tworu terytorialnego. Dlaczego więc łączymy je teraz?

O tych sprawach myślałem, siedząc na dwudniowej naradzie, która odbywała się pod hasłem: „Rola młodej inteligencji w aktywizacji środowiska”. Udział w niej brali właśnie przedstawiciele tych czterech województw.

Wśród licznych, dłuższych i krótszych wypowiedzi można było usłyszeć wiele interesujących stwierdzeń. O roli inteligencji, o zatrudnianiu absolwentów szkół wyższych, o warunkach pracy na prowincji, o wzrastających wymaganiach kulturalnych społeczeństwa, o konieczności ożywienia małych miasteczek itd., itd.

Były to wystąpienia dobrze przygotowane; trzeba przyznać, że temat narady doczekał się dokładnego, wielostronnego naświetlenia. Niemniej nad całością obrad zaciążyła profesjonalność większości prelegentów. Występowali bowiem głównie etatowi pracownicy różnych instytucji i placówek kulturalnych. Mówili oni rzeczy słuszne, lecz na ogół znane czy to z innych narad, czy też choćby z prasy kulturalnej. Taka dwudniowa koncentracja tematyki niewątpliwie pomogła w lepszym umysłowaniu sobie tych spraw, nawet dobrze zorientowanym w zagadnieniach uczestnikom spotkania, nie odpowiedziała jednak narada na postawione przeze mnie na wstępie pytania. Za mało było na niej nieetatowych działaczy kulturalnych i za rzadko zabierali oni głos. Dopiero słuchając rozmów kulturalnych, można było łatwiej zrozumieć, z jakimi podobnymi do siebie sprawami borykają się ci młodzi ludzie.

Wszystkie nasze województwa to dawna Polska B. To rejon rolniczy, w których jednak tu i ówdzie rozsiane są nowe, szybko rozbudowujące się ośrodki przemysłowe. Inaczej wygląda życie na przemysłowym Śląsku, inaczej na Wybrzeżu, inaczej w Poznaniu i w Warszawie, inaczej w rozwiniętej kulturze rolniczej, a inaczej jeszcze u nas, na wschodzie i południu Polski. O te więc doświadczenia z tamtych bardziej rozwiniętych rejonów nie są u nas możliwe do kopiowania ze względu na zupełnie inną sytuację i inne możliwości,

o tyle wiele mogą się od siebie nawzajem nauczyć mieszkańcy naszych czterech województw.

Czy więc to całe spotkanie miało swój sens? Z pewnością tak, choć nie spełniło chyba w pełni nakreślonej roli. Warto zorganizować podobne narady, ale pod warunkiem, że większość głosów będzie pochodziła z ust tych, którzy bezpośrednio prowadzą podstawową działalność w placówkach, nie tylko powiatowych i miejskich, lecz nawet i gromadzkich.

# Twórczy

Rozmawiamy z przewodniczącym Rady Okręgowej ZSP w Lublinie Kazimierzem Gieronem.

— Zrzeszenie Studentów Polskich w Lublinie od dłuższego już czasu zajmuje się nie tylko sprawami studenckimi. Krąg swoich zainteresowań rozszerzyło również na absolwentów wyższych uczelni. Jednym z przykładów — zorganizowane w połowie lutego Seminarium Młodej Inteligencji czterech województw...

— Jest to już drugie seminarium tego typu — mówi K. Gieron. — Muszę jednak zaraz na wstępie zaznaczyć, że poprzednie i ostatnie seminarium zorganizowałyśmy w ścisłym powiązaniu z wydziałami kultury WRN w Białymstoku, Kielcach, Lublinie i Rzeszowie. Pierwsze — nazwijmy je wstępnym — seminarium odbyło się w grudniu 1962 roku. Poruszano wtedy sprawy zabezpieczenia kadrowego czterech województw, dyskutowano na temat młodej inteligencji opuszczającej mury wyższych uczelni itp. W uchwalach końcowych zobowiązano wówczas Radę Okręgową do inicjowania w przyszłości podobnych spotkań. Ostatnie seminarium natomiast miało już ściśle sprecyzowany temat. Chodziło nam

o zorientowanie się na konkretnych przykładach, jak wygląda proces adaptacji absolwenta w nowym dla niego środowisku, jak wyglądają jego pierwsze kroki w podejmowaniu działań społecznych, co sprzyja a co przeszkadza w kształtowaniu się postawy inteligenta w ośrodku, do którego trafił.

— Ogólne zainteresowanie wzbudził referat prof. dr. Bogdana Suchodolskiego: „Charakterystyka cech swoistych kultury współczesnej”...

— Tak. Referat ten był zagajaniem dyskusji. Ciekawy materiał faktograficzny wniosły ponadto referaty, przygotowane i wygłoszone przez absolwentów — działaczy społecznych z czterech województw. Np. inż. Wacław Wasiak mówił o znaczeniu młodej inteligencji w życiu społecznym Mięci, mgr Agata Baryła, pracująca w woj. białostockim, wybrała za temat do swoich rozważań „Udział młodej inteligencji w realizacji programu Powiatowego Domu Kultury w Sokółce”. Referat mgr Czesława Cieskiej nosił tytuł: „Z doświadczeń społecznej inteligencji wiejskiej na przykładzie gromady Firlej w pow. lubartowskim”.

## Zanotowane w czasie dyskusji

Mgr CZESŁAW KALUŻNY (dyrektor Departamentu Kulturalno-Oświatowego i Bibliotek Min. Kultury i Sztuki): „Mówiąc o inteligencji uważa się, mamy zazwyczaj na myśli nauczycieli. Tymczasem na prowincji pracuje coraz więcej ludzi z wyższym wykształceniem technicznym, rolniczym i medycznym. Procent jej będzie stale wzrastał. Musimy zrobić wszystko, aby tych ludzi wykorzystać do aktywności kulturalnej wsi”.

Doc. dr STANISŁAW KRZYKAŁA (dziekan Wydziału Humanistycznego UMCS): „Młodzież po ukończeniu studiów nie chce iść do pracy w teren. Opiera się nawet wtedy, gdy przychodzi jej odpracować stypendia zakładowe. Myślę, że przedsiębiorstwa i instytucje nie powinny ograniczać swojej roli do wypłacania studentowi stypendium, lecz traktować go jako bliżej uczuciowo z przyszłym miejscem pracy. Duże zadania propagandowe są tu też do spełnienia przez ZSP”.

Dr IRENA WOJNAR (Polska Akademia Nauk): „W Ciechanowcu w województwie lubelskim nauczyciel szkoły podstawowej wyciągnął na światło dzienne fakt, iż z miejscowości tej pochodził jeden z znanych twórców kulturalnych. Cała wieś została zaangażowana w poszukiwanie pamiętek po tym człowieku. Oto przykład wartościowej inicjatywy”.

## Z Rzeszowszczyzny do Sokółki



Mgr AGATA BARYŁA twierdzi, że niewiele brakuje, by stała się... żywą reklamą unii czterech województw. Pochodzi bowiem z Rzeszowszczyzny, studiowała filologię polską w Lublinie, a obecnie mieszka w woj. białostockim, w Sokółce, gdzie jest

kierownikiem Powiatowego Domu Kultury. Jej więzią pasją było zawsze dziennikarstwo. Przez kilka lat stanowiła jeden z filarów lubelskiego radiowęzła akademickiego, nadającego codziennie kilkugodzinny program własny. Nawiasem mówiąc lubelskie „radio akademickie” jest jednym z najlepiej prowadzonych radiowęzłów w Polsce. W ciągu kilku lat pracy w radiu Agata Baryła pełniła w nim funkcje od spikera do kierownika studenckiego magazynu rozmaitego, audycji cieszącej się największym zainteresowaniem wśród studentów.

— Świetni ludzie — mówi teraz o swoich kolegach-radiowcach z tamtych czasów. — Nawet podczas tak gorącego okresu, jak pisanie prac magisterskich „zarywali” noce dla przygotowania kolejnych audycji. Stanowili doskonale zgraną kilkuosobową grupę. Kierownikiem radiowęzła był obecny przewodniczący Zarządu Miejskiego ZMS w Lublinie Andrzej Hajkowski, magazyn studencki prowadził Wiesław Kral, (obecnie pracujący w Radzie Okręgowej ZSP) a radiowy magazyn filmowy — Janusz Kopiciał. Pracowali w radio-

weźle Wacława Wójtowicz, Ryszard Szyrzycha, Michał Korzon...

Teraz „paczka” rozleciała się po świecie, albo ściśle: po czterech województwach. Ale wszyscy nadal coś robią. Coś robią, to znaczy, że oprócz pracy zawodowej biorą czynny udział w życiu społecznym miejscowości, w których osiedli.

Skąd przy tej dziennikarskiej pasji nagie decyzja osiedlenia się w małej, powiatowej Sokółce?

— Po prostu — stypendium fundowane. Korzystałam podczas studiów ze stypendium Prezydium PRN w Sokółce. Chcąc nie chcąc, trafiłam więc do tej miejscowości. W liceum nie było wolnych etatów, ale znalazł się etat kierownika domu kultury...

PDK w Sokółce jest jednym z najlepiej działających domów kultury w woj. białostockim. Energiczna kierowniczka w ciągu niespełna dwóch lat potrafiła zdobyć zaufanie miejscowego społeczeństwa, zainteresować pracą kulturalną młodzież i starszych, pozyskać dla pracy dydaktycznej w terenie wiele osób spośród miejscowej inteligencji: młodych prawników, lekarzy weterynaryj, nauczycieli. Poza normalną, planową działalnością Dom Kultury w Sokółce występuje z coraz to nowymi inicjatywami: powstaje „Klub miłośników teatru”, „Kabaret literacki”, odbywają się „prelekcje łączące”, tzn. odczyty przygotowywane, wygłaszane a następnie komentowane przez specjalistów z dwóch pokrewnych dziedzin, np. sędziego dla nieletnich i psychologa, no i rzecz niezwykła — cotygodniowe bezalkoholowe wieczorki taneczne.



Obsługa seminarium:

MIROSLAW DERECKI  
ANDRZEJ POLAKOWSKI  
(zdjęcia)  
ROMUALD WIŚNIEWSKI

## Stu przeciw nudzie

Po kilku latach studiów w Lublinie Lubaczów wydawał się RYSZARDOVI MOSKALOWI nudną dziurą. Miasto małe, znajomości żadnych w nim nie miał, a jedyne lokalne miejsca rozrywki w postaci kina, restauracji (a raczej knajpy) i „restauracji-kawiarni” nie wydawały się atrakcyjne. W sumie więc perspektywy były dość szarawe. R. Moskał przyjął propozycję odbycia stażu w tutejszej Lecznicy Weterynaryjnej jedynie z tego względu, że oferowano mu też pokój słuźbowy na mieszkanie, no i nie było stąd za daleko do rodzinnych podmiejskich okolic.

Ale po kilku dniach pobytu spotkał nieoczekiwanie dwóch kolegów: Juliana Kiezułę i Mariana Skręta. Znali się z czasów studenckich. Pierwszy był historykiem sztuki, a drugi prawnikiem. Działali wspólnie z Moskałem w organizacjach młodzieżowych.

— Słuchajcie, nas, absolwentów lubelskich uczelni, jest tu chyba więcej. A może byśmy zrobili jakieś zebranie wszystkich? — zaproponował któryś.

Zrobili. Przyjechało ich z całego powiatu aż 31. Byli najwzajem zaskoczeni tą liczbą. I rzy nie potrafimy sobie dać rady z nudą? A przecież w powiecie mieszka i paru absolwentów wyższych uczelni z innych miast. Może spotkamy się z nimi?

Tym razem zdziwienie było całkowite. Przyjechało 76 osób z uczelni nie lubelskich. A więc w sumie w powiecie mieszka ponad 100 ludzi z wyższym wykształceniem.

Na zebraniu postanowiono reaktywować przedwojenną organizację: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Lubaczowskiej oraz powołać do życia oddział Towarzystwa Przyjaciół Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Do Towarzystwa wstąpił też absolwent innej uczelni. Pierwszy zgłosił się kierownik Powiatowej Lecznicy Weterynaryjnej — dr Włodzimierz Zian, który ukończył studia przed wojną we Lwowie. Sekretarzem została mgr Marta Dzięczyńska (absolwentka Uniw. Wrocławskiego), jedyni z pierwszych był: arch. Bolesław Białala, lekarz wet. Władysław Kobiałka, mgr Edward Michalski i inni.

Nowe organizacje istnieją zaledwie kilka miesięcy, a już nakreśliły sobie szerokie plany działania. Chcą gościć u siebie profesorów lubelskich uczelni, którzy powieliliby im o najnowszych osiągnięciach nauki. Zaprośli

już rektora UMCS, prof. dr G. L. Seidlera. Zaproszenie przyjął, w najbliższym czasie odwiedzi Lubaczów. Zaprośli przedstawicieli Rady Okręgowej ZSP w Lublinie — ta wizyta już się odbyła. Lecz działalność lubaczowskiej inteligencji nie ograniczyła się do podtrzymania więzi z ośrodkiem uniwersyteckim. Chęć, aby korzyści jakieś odniósł i powiat. Powołali zespół specjalistów, który będzie opracowywał audycje popularno-naukowe dla miejscowego radiowęzła. Planują wprowadzenie pracy klubowej w kawiarni, a więc odczytów, spotkań z ciekawymi ludźmi, wieczorków itp. Przygotowują materiały do specjalnej sesji, na której chcą omówić możliwości wcześniejszej gazyfikacji Lubaczowa i powiatu.

Nie cała inteligencja lubaczowska włączyła się jednakowo aktywnie w ten nurt. Niektórym możliwości dodatkowych zarobków, innym stan zdrowia lub obowiązki nie pozwalają na pracę społeczną. Ale pobudzona jesienią 1964 roku inicjatywa lubaczowskiej inteligencji już przynosi plony.

## Drugie miasto rodzinne

(Dokończenie ze str. 6)

lują się i zamykają w swojej pracy. Większości natomiast potrzebna byłoby jakiegoś katalizatora. Oto zadania dla wydziałów kultury ZSP, ZMS i ZMW, dla gęsto rozsiadanych po województwach powiatowych domów kultury. Te ostatnie są na ogół placówkami prężnymi, podległymi wojewódzkiemu domowi kultury, a więc w pracy z inteligencją osiedli w terenie niestety o ustalenie jakiejś wspólnej linii działania. Tutaj wyłania się problem włączenia się WDK do współpracy czterech województw. Oczywiście, czyniono już w tym względzie jakieś próby, ale to co było, to chyba za mało. Poszczególnym domom kultury mogłoby wymienić swoje zespoły, prezentować nawzajem najciekawsze przedstawienia, wystawy plastyczne itp. No i sprawa pierwszorzędnej wagi: WDK powinny opracować wspólny — oczywiście uzależniający specyfikę regionu — plan pracy wychowawczo-kulturalnej od Białegostoku po Rzeszów.

Wreszcie ostatnia sprawa: dlaczego „miejscem nainowoczesniejszych spotkań narad, konferencji czterech województw ma być ciepłe Lublin? Dlatego, że leży centralnie?



Na sali obrad...

## ferment

— Czy podejmowanie przez ZSP zagadnień życia absolwentów nie odbija się niekorzystnie na pracy ze studentami?

— Młody absolwent to przecież „dalszy ciąg” naszego studenta, który został trochę „rzucony na pastwę losu”. A w ogóle działalność wśród absolwentów, obserwacja ich poczyniła w nowym środowisku, utrzymywanie z nimi stałego kontaktu, wymiana poglądów stanowią doskonały materiał konfrontacyjny właśnie w pracy ze studentami, pracy mającej przeciść, wśród wielu innych, główny cel — kształtowanie młodzieży na obywateli zaangażowanych społecznie. Nasze seminarium dostarczyło kilku przykładów dobrej roboty w terenie. Wykazało, że młody człowiek wciągnięty do działalności społecznej podczas studiów, po ich ukończeniu zaczyna się rozglądać za podjęciem podobnej działalności w nowym środowisku. Staje się inicjatorem, który na ogół pociąga za sobą innych. Rzecz w tym, by wychować jak najwięcej takich inicjatorów społecznego działania.

Liczymy zresztą w tym względzie na pomoc zarządów powiatowych ZMW i ZMS.

— Czy seminaria będą kontynuowane w przyszłości?

— Oczywiście. I to nie tylko w Lublinie. Wkrótce zorganizujemy podobne seminarium na ziemiach północnych i zachodnich Polski.

— Inicjatywy ZSP spotykały się z dużym zainteresowaniem ze strony władz...

— W seminarium uczestniczyli kierownicy wydziałów kultury czterech województw, przedstawiciele wydziałów propagandy komitetów wojewódzkich PZPR. Był również obecny dyrektor Departamentu Pracy Kulturalno-Oświatowej i Bibliotek Ministerstwa Kultury i Sztuki, Czesław Kalużny. Ten wyraz zainteresowania bardzo nas zobowiązuje.

— Pozostaje więc życzyć Wam...

— ...dalszej serdecznej opieki ze strony władz czterech województw, jak największego zainteresowania naszymi poczynaniami ze strony absolwentów i jak najliczniejszego uczestnictwa absolwentów w następnych seminarium.

## Polowanie

Nienawidę obchodzi stulecia.  
Zza pal  
wynurza czarne dziury luf.

Narodził na locie ptaka  
podrwanego do ołowiu,  
niebo w podskoku zajaca  
rozcięte na paszety.  
Gałązka rogów  
wyrażana z lba  
krwawi na ścianie  
rozbielonej nocy.

Obok dwururka,  
do strzału  
złożone oczy.

## ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

### pierwsza strona czuwania

nie zdobywałeś grani  
a byłeś z nią  
nie zgłębiałeś dna  
a jest w tobie  
nie przecinałeś czerni  
a jesteś nią  
jestem  
nie toczyłeś soków  
płynących z nimi  
nie kroliłeś owoców  
wrosłeś w nie  
nie drażyłeś pni  
drażono cię  
jestem jak drzewo  
jestem  
nie przechodziłeś mostu

[nad sekwaną  
nie wzdychałeś dantejskiego piekła  
nie powierzałeś ucząc katakumbom  
jesteś mostem nad piekłem  
w katakumbach czasu  
jestem

# Temat czeka

(Dokończenie ze str. 1)

literatury. Byłoby lepiej, gdyby nie trzeba było czekać na to latami. Potrzebne są w tym zakresie próby, zwycięstwa i klęski pisarskie. Potrzebna jest rehabilitacja tematu.

Warunkiem tej rehabilitacji jest z pewnością powtórne zbadanie doświadczeń polskiej powieści produkcyjnej. Nie wnosząc o apelację — wnosząc o wnikliwy komentarz po wyroku, który zapadł nieodwołalnie. O rozróżnienie „Lewantów” od „Mirków ruszył”. O odwołanie doświadczenia „Węglu” — którego bohaterem Scibor-Ryński dał bogatą psychologię pozaprodukcijną, od „Fundamentów”, gdzie za to organicznie zrosły się postawy w produkcji z analizą zróżnicowanych postaw politycznych. O zbadanie, ile było w tych ksiązkach schematyzmu, a ile trafnych obserwacji, choćby z zakresu mikro-socjologii środowiska. O spojrzenie na wartościowości z tych książek pod kątem laboratoryjnym: co byśmy otrzymali np. gdyby wyeliminować agenta, obciążonego winą za wszystkie grzechy i powikłania? Zastanowił się warto na przykład, ile prawdy było w „Obywatelach” obok wątku szpiegowskiego.

Rozróżnilibyśmy wtedy w tych powieściach wątki różne, poczynili odkrycia metodologicznie ważne. Zauważylibyśmy, że bohater powieści współczesnej gdzieś powinien pracować. Zarejestrowalibyśmy pierwsze próby przejścia od powieści o maszynach do powieści o współczesnych Polakach, którzy te maszyny obsługują. Znaleźlibyśmy — choć rozproszone i przywołane ciężkim głazem schematu — cenne spostrzeżenia empiryczne, w których pisarze wyprzedzili socjologów, (tych zresztą podówczas nie było, a Adam

Schaff, używszy określenia „socjologia” na jednej z Bardzo Ważnych Narad wywołał wśród słuchaczy dreszcz przerażenia). Znaleźlibyśmy trafny szkic rodowodów przedstawicieli pierwszego pokolenia polskiej industrializacji. Znaleźlibyśmy przemożne wołanie o ład i logikę społecznych działań wokół tygla, w którym rodzi się nowa klasa robotnicza. Znaleźlibyśmy tropy, wiążące ko prawdy o człowieku zaangażowanym. Znaleźlibyśmy pierwsze zapowiedzi wielu późniejszych odkryć formalnych: retrospekcje, monologi wewnętrzne, łamanie schematu tradycyjnej epiki.

Warto podjąć ten trud. Nie w imię rehabilitacji rzeczy złych, lecz w imię uczenia się na błędach.

Wskaźniki statystyczne nie mogą służyć za argument na rzecz propozycji artystycznej. Chyba, że znajdują pokrycie w materii tematu, w jego dramatyzmie i dynamice, w komplikacjach, zachęcających artystę. Chyba, że wyrażają nadrzędne imperatywy losów narodowych, tak atrakcyjne dla pisarza, który stawia sobie cele obywatelskie, chce formułować pytania podstawowe i ryzykować ambitną na nie odpowiedź.

W danym wypadku mamy z pewnością do czynienia z tego rodzaju sytuacją. Miliony ludzi związały swój los, ambicję, perspektywy osobiste i społeczne z przemysłem. Miliony ludzi wiązały z nim pojęcie kariery życiowej. Miliony ludzi kształtują go — i kształtują się pod jego bezpośrednim wpływem.

Tu, właśnie w przemysle, zbiegają się miliony życiorysów — najciekawszych życiorysów w całej polskiej historii. Zbiegają się w węzły nowych stosunków międzyludzkich — posiadających niezwykłą wagę nie tylko „w sobie” i „dla siebie”, lecz decydujących o szerszym, ogólnospołecznym rytmie i kształcie przeobrażeń.

Przemysł należy zarazem do makrosocjologii i mikrosocjologii — jest podstawową kuźnią przemian ogólnonarodowych, a zarazem tygłem burzliwego i skomplikowanego procesu wewnątrz klasy, narastania jej sąsiedztw i styków. W przemysle spotyka się kilka generacji robotniczych — ta tradycyjna, sięgająca rodowodem do pierwszych staro-klasowych XIX wieku, 1905 roku, zmagana międzywojennych i okupacyjnych; ta młodsza, a już dziś ustalibilizowana w nowej sytuacji — generacja budowniczych Pafawagu, Nowej Huty, fabryk sześciolatki — i ta najmłodsza, spod znaku Konia, Puław, Płocka. W przemysle spotyka się kilka generacji robotniczych z kilkoma generacjami inteligencji — głównie, ale przecież nie tylko, technicznej. W przemysle spotyka się robotnik i inteligent z produkcji — ze wsią, reprezentowaną przez pozostawioną na wsi rodzinę, chłoparobotnika, nowo przybyłego krewnego czy wczorajszego sąsiada. W przemysle rysują się linie spotkania XX wieku z malomiasteczkowym zaciankiem — to sąsiedztwo, które można obejrzeć w całej wyrazistości w Ostrołęce, Woźbromiu, Wierzbniku. W przemysle spotyka się Polak stąd i stamtąd, Warszawiak z Opolaninem, Łwówiak ze Śląkczakiem, repatriant z Francji z synem leśniczego w puszczy białoruskiej...

Integracja? Tak, ale nie tylko ona. Społecznie rzecz ujmując, przemysł to pole nieustającej batalii o nowe więzi, coraz dojrzałe i zdolniejsze do oddziaływania także na zewnątrz. Batalii, w której czynniki działające na rzecz integracji ścierają się z czynnikami odródkowymi, tkwiącymi w tradycji innego myślenia, w innych wzorcach i postawach, w samej materii przemysłu — z niedoskonałością jego organizacji, kurczowym pościgiem za poziomem techniki światowej, deficytem racjonalnego działania w zakresie stosunków międzyludzkich.

Przyjrzyjmy się dramatyzmowi tej materii. Oto dramat kierownika z awansu, który nagle znalazł się w ogniu konfrontacji z nowymi potrzebami fabryki, którą sam budował. Oto starcia różnych światopoglądów, batalie nowatorów i rutyniarzy, śpiewka krytyki z utartą hierarchią służbowej zwierzchności.

Przyjrzyjmy się typowemu konfliktowi fabrycznemu. Wokół robotniczej krytyki. Wokół niedocenionego wynalazku. Wokół polityki kadrowej, kry-

terów oceny i awansu. Wokół pojęcia odpowiedzialności. Wokół starć postawy afirmującej z postawą krytyczną. Przypatrzmy się z bliska, jak krzyżują się struktury formalne ze strukturami nieformalnymi: działacz z funkcji i działacz z moralnej nominacji środowiska, ten, kto mówi z trybuny — i ten, kto na co dzień przewodzi opinii publicznej, urabia ją. Trudności fabrycznego sztabu, oficera i żołnierza. Starcia z biurokratyzmem od góry — i nie uświadomione sobie samemu tworzenie biurokratyzmu w zasięgu własnego działania: człowiek zbuntowany wobec „góry”, ale dławiony inicjatywę podwładnych. Głód ostrych kryteriów moralnych — a zarazem tolerancja, narzucona przez komplikację życia: „Miałeś rację, ale musimy być stuknąć...” — mówi sekretarz: „Dopiszemy, nikt na tym nie straci...” — mówi dyrektor. Zło społeczne, w fabryce takie same, jak gdzie indziej: paraliżujący wpływ „małej stabilizacji” i niedostateczność dla niektórych aktualnego wzorca życiowego sukcesu na tle pokus „życia ułatwionego”; nadużycia władzy, rejonu małych protekcyjek i cichych szantaży.

A dom? A odbicie tamtego, fabrycznego życia w jego czterech ścianach? Kobieta pracująca — i kobieta pożądana. Kumpel w spódnicy — i kura domowa. Wiejski obyczaj w najbliższym sąsiedztwie techniki XX wieku. Marzenia i cele życiowe. Ideal szczęścia.

Nie, nie uda się nikomu dowiedzieć, że temat przemysłowy jest płaski, nudny, aliteracki. Nie głoszć zakazów — szukajmy w polskim przemysle także tematu „Homo Fabera” i wątków z „Czerwonej Pustyni”. Badajmy procesy alienacji — są, trzeba je przeżywać, tylko ignorancja może uwierzyć, że upaństwowiając przemysł, zrealizowaliśmy już komunistyczny ideał społeczny.

Po dwunastu latach od fali „literatury produkcyjnej” mamy prozę nieporównanie bogatszą warsztatowo, o wiele wyraźniejszą pisarskie charakterystyką, o wiele różnorodniejszą stylistyką, o wiele szerszą skalę swobody twórczej i zwielokrotnioną wrażliwość. Mamy pisarstwo wyczułone na wszystkie choroby sprzed lat.

Człowiek poszedł do lasu. Nie znalazł drzew, nie rozróżniał grzybów, nie miał latarki ani kompasu. Był w kostiumie kąpielowym i wieczorowym obuwiu. Zabłądził. Chodził kilka dni, nie widząc lasu. Nazbierał zatrutych grzybów. Starł sobie nogi, nabił guza, nabawił się grypy.

Odbił kurs botaniki. Przeszudował atlas grzybów. Wie, jak poznać kiełkuniki. Ma latarkę i kompas. Zaopatrzył się w pełny ekwipunek turystyczny. Odbił trening piechura. Ale do lasu nie wchodzi — trochę się boi, trochę nie chce, zresztą na ogół odradza...

Pora wejść w las. Nie będą z książki o przemysle. Będą to książki o człowieku w Polsce dzisiejszej.

Ludwik Krasucki

## MAKSYM TANK

### Śledzie z wierszami

A niech się tam ludzie głowią,  
Gdzie i komu wnieść pomnik  
(brązowy).

Ja bo nie jestem już taki naiwny.  
By myśleć,  
Ze me wiersze,  
Szorstkie jak dłoń robotnika,  
Surowe jak sumentle,  
Na skrzyżowaniu  
Wiatrów i dróg  
Zrodzone.

Były coś więcej warte,  
Niż liyk jakiś mały  
Wody.

Cieszę się nawet z tego,  
Ze sprzedawczyń  
Dził w moje wiersze  
Zawinęła śledzie.

I nawet mnie korci.  
By spaćle przechodniów:  
Czyście już kosztował  
Śledzi  
Z wierszami?

Przełożył

Kazimierz Andrzej Jaworski

# od BIEBRZY NO BIESZCZADY

## BIAŁYSTOK

◆ Powzechne Spółdzielnie Spożywców utworzyły już 11 zespołów estradowych, które — mieszając zwykłą reklamę z piosenkami, wierszami i skeczami — mają propagować wyroby „Społem”. Inicjatywa na nazwę warunki dość oryginalna, byle tylko cała impreza nie przerodziła się w fabrykę śmiechu.

◆ „Czy znasz historię Ziemi Eleckiej?” — to tytuł imprezy, która potrwa 3 miesiące. Najpierw w szkołach, klubach i domach kultury będą odbywały się pogadanki i odczyty, potem zostanie zorganizowana wystawa z zakresu historii i etnografii regionu warmińsko-mazurskiego, a w maju z okazji Tygodnia Ziemi Mazurskiej zgadzają nagrodami.

◆ Teatr im. A. Węgierki wystawił adaptację sceniczną powieści J. Putramenta „Pasierbowie”. Reżyserowała, po raz pierwszy w rodzinnym mieście, Teresa Zukowska.

◆ Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne w Białymstoku wydało „Zbiorek naukowy”, zawierający m. in. materiały z dziedziny historii, literatury i spraw społecznych, a także monografię gospodarczo-społeczną powiatu hajnowskiego.

◆ Kierownikami lub instruktorami niemal wszystkich zespołów amatorskich i kółek zainteresowań w PDK w Goldapi są naukowcy. Wyniki bardzo dobre — oby tak było w innych miejscowościach!

◆ Wiesz Mrocziński w pow. monieckim uchodził oficjalnie za „śpiacą”, i nikt nie próbował jej obudzić. Ze względu na zbieżność nazwy z nazwiskiem — aktor Teatru im. Węgierki Tadeusz Mroczek przyjechał do Mroczińskich i na spotkaniu z ludnością opowiadał dużo o teatrze. Już po kilku dniach autorów nie mogli pomieścić tych, którzy chcieli pojechać na występ teatru w Modkach.

## KIELCE

◆ Uniwersytekt kultury, istniejący przy Muzeum Świętokrzyskim, rozpoczął trzeci rok pracy wykładem „O stylach w sztuce” prof. dr S. Kozłowiec z Muzeum Narodowego w Warszawie.

◆ W kwietniu otwarta zostanie w Radomiu ogólnopolska wystawa plastyki, organizowana z okazji XX-lecia Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych. Orga-

nizatorzy bardzo zapraszają artystów z naszych i województw.

◆ Na małej scenie Teatru im. Zeromskiego wystawiono wreszcie pierwszą pełnospektaklową sztukę i to współczesną — „Tor” Jana Pawła Gawiłki. Spodziewamy się, że nie nastąpi wykolejenie i że zespół wystawi także inne pełne sztuki.

◆ Według zestawień bibliotekarzy mieszkający Kielce przeczytali w r. ub. tylko 235 tys. książek — z tego połowę młodzież szkolna; literaturę obowiązkową.

◆ Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Kielcach obchodzi XX-lecie istnienia. I może z tej okazji podjęła godną naśladownictwa inicjatywę: w maju i czerwcu da 6 popularnych koncertów na wolnym powietrzu. Zamawiają pogodę!

## LUBLIN

◆ Nareszcie! Prezes Wojew. Związku Gminnych Spółdzielni wystosował pismo do wszystkich GS, przestrzegające przed podpisywaniem umów z tzw. dżimkami zespołami, które — wiadomo — dają smierć, a zbierają prawdziwe pieniądze.

◆ Aktoży Teatru im. Osterwy w każdą niedzielę grają dla dzieci „Czerwonego Kapturka”. Sztuka stara, ale pomysł nowy; rozpisali konkurs dla młodych widzów na „recenzję”. Kto jeszcze nie potrafi pisać, może „recenzję” narysować.

◆ Rada Okręgowa ZSP zorganizowała pierwszy w Lublinie klub MPiK dla studentów. Szkoła tylko, że lokal znalazł się daleko poza dzielnicą uniwersytecką.

## RZESZÓW

◆ We wsi Krywe - Przystup kilka rolniczo zorganizowało małą świetlicę — pierwszą wiejską świetlicę w Bieszczadach. Jednak nikt jakoś nie kwapi się z pomocą w jej wyposażeniu i to, co miało być świetlica, zamienia się powoli w zwykłą salkę zabrak kółka rolniczego.

◆ W Rzeszowie powstała Jeszcze jedna komisja koordynacyjna — tym razem dla teatrów amatorskich. Jak widać, pomysłów nie brakuje — i to słusznych. Ale co z tego, gdy droga od pomysłu do realizacji wciąż jeszcze jest długa...

◆ Ukazał się obszerny i ładny album „Ziemia Bieszczadzka”. Wydano go w Krakowie.



# LEGENDA O SZELI



Władysław Chajec z Kamienicy Górnej pow. Jasło. Znakomity rzeźbiarz ludowy. Autor „Legendy o Szeli”.

Fot. F. Kotula (1964 r.)

Od kilkudziesięciu lat — bezpośrednio lub pośrednio, organizując kompleksowe obozy naukowo-badawcze albo posługując się ankietami — prowadzę badania nad folklorem ludowym w kilku regionach województwa rzeszowskiego. Na folklor słowny, globalnie biorąc, składa się wiele aspektów. Między innymi należy wyodrębnić tradycję historyczną, oraz legendy historyczne. Do wydarzeń, które już dość dawno oplotły się mgielką legendy, należy „rabacja”, a także osoba Jakuba Szeli. Wspomnienia tamtych czasów nabierają idealnych cech legendy, naturalnie w opowiadaniach przedstawicieli starszego pokolenia, bowiem najmłodsze żądnymi wspomnieniami zdaje się nie interesować. Taką właśnie legendę o Szeli udało mi się zdobyć, nie tylko w relacji ustnej ale nawet w formie pisemnej w Kamienicy Górnej, w pow. Jasło. Po prostu przez zachętę właściciela legendy do jej spisania. Tutaj też pozwolę sobie przypomnieć mój artykuł w „Życiu Literackim” w nr 8/1964. A oto legenda, w dosłownym brzmieniu.

## „Rabacja na panów” czyli powstanie chłopów

Spisał Władysław Chajec z Kamienicy Górnej

**M**OJ dziadek (to czasie rabacji) miał 9 lat, a żył 94 lat. Opowiadał mi kilkakrotnie o biciu panów.

We wszystkich wioskach koło naszej wioski (Kamienicy Górnej) były dwory obszarncie. Nasza wioska nie nadawała się na dwór, bo była górzysta, ale lasów było przeszło 2 tysiące morgów. Na małych skrawkach równin (na równinie we wsi) obszarncie z dworu miał gorzelnię, browar, młyn, tartak, leśniczówkę i leśniówkę. Niedaleko (od tych zabudowań) około 250 metrów mój dziadek miał mieszkanie (chałupę). Gdy (jego) gęsi zaszły ku borowi, napędził (robotniczy) gęsi w gorącą braję i ugotowali je żywcem. Ludzie u panów musieli pracować 4 dni, sobie 2 dni (w tygodniu). Ale gdy na te 2 dni udał się deszcz, to sobie nie robili ani jednego dnia w tygodniu. Ludzie do pracy musieli iść przed wzejściem słońca, a szli z wielkim lękiem. W bramie była ława, a gdy się kto spóźnił musiał się na niej kłaskać. Bili bez miłosierdzia.

Panowie dawali (chłopom) len do obróbki. Ludzie len musieli prząć na nici. Wydali rozkaz, że z tego (lenu) musiało być tyle a tyle nici półtoraków. Półtorak na przykład wyglądał jak chomątka na konia, musiało w nim być 60 pasm, takich w kolo, a w każdym pasmie 24 nici. Gdy zabrakło pańskiego lnu, ludzie musieli prząć ze swego, bo bili do upadłego. Musieli też kopać kamienie 4 dni w tygodniu za darmo, z tych kamieni budowali śpiżnicze i obrzynie piwnice na kartofle. Ludzie jeszcze po dziś dzień wykopują (z ziemi) kamienie po panach (na miejscu dworskich budowli).

Mówił mi mój dziadek, że jak nabrał grzybów w pańskim lesie, to dziadek odebrał mu, wysypał na ziemię i zdepał, a na końcu kopnął go w tyłek. Dziadek myślał, że go to koń kopnął, aż się przewrócił. Raz dziadek przejechał przez pański las, to za karę musiał mu ścinać na opał do browaru takiego buka, co go było 16 metrów, bez konarów i czubka. Cięli 2 metry wysoko (ponad ziemię), bo (wtedy) nie obstala pila.

Nareszcie każda rzecz ma swój koniec. Jakub Szela ze Smarowej — trzecia wioska od naszej — chodził pieszko na Węgry do cesarza austriackiego, trzy razy. Mówił, jaki ciężar chłopów (gniecie). Cesarz mu powiedział, że panowie obszarncie nie chcą płacić podatków. Cesarz wysłał swego syna, przebranego na chłopca, sprawdzić (czy to prawda, co Szela mówił). Syn cesarza chodził po wioskach, zanocował u chłopów w pobliżu dworu i prowadził pogawędki. Daleko w nocy chłop mówił, że pójdzcie spać, bo by raniutko nie stawil się do pana do roboty. Syn cesarza mówił, że on pójdzie za gospodarza, ale chłop nie wiedział że to syn cesarza.

Rano, ani sam się nie spieszy (syn cesarza) i gospodarzowi nie daje. Nareszcie, kiedy słońce wyszło wyżej, syn cesarza poszedł. Zachodzi, a tu w

bramie stoi piekielny pan hrabia i ława do bicia.

— To teraz idziesz chamię? Kładź się! — zawołał pan.

On (syn cesarza) chętnie się położył a pan odsunął mu płótniankę, żeby bicie lepiej przylegało. Patrzy, a tu pod płótnianką wojskowa bluza i spodnie wojskowe i pas.

— Powstań! — krzyknął hrabia. Powstał on, wyprostował się, a hrabia pyta: — coś za jeden?

— Nie jestem proste żrebie od kobyły, jestem syn cesarza! — powiedział.

— Więcej chłopów bić nie będziecie — powiedział i to samo napsał na bramie piekielnej. Poszedł dalej. Ale panowie nie bardzo wierzyli w tego cesarskiego syna i dalej gnębili chłopów.

W naszej wiosce, był browar, tartak, młyn, leśniczówka. Razu jednego leśniczy pokazywał leśnemu — pociągając palcem po szyi, że jutro tak będzie z chłopami. A ty się schowaj — powiedział.

Na drugi dzień ten leśny poszedł w las tylem, żeby był ślad, że poszedł z lasu do wsi. Chłopi zabrali żony i obszarpane dzieci, wszystko do poręczyło się w lesie, bo lasy były olbrzymie. Mój dziadek i ojciec mojego dziadka, czyli pradziadek, mieli swój las, jakie pół kilometra od browaru. Niewielki to był las, jeden morg, ale rosły w nim olbrzymie jodły. Skryli się w swój las. Dziadek, który miał 9 lat, wyspinal się na jodłę i patrzy. A tu naraz naprzód jeden a za nim jedzie cała kolumna w białych „puconkach” — takich długich płaszczach z lennego płótna; kołnierze zielone i oszywki rekawów zielone. Kosy na długich oszczepach i szpadle, czyli motyki. A na przodzie z opaską przez ramię dowódca, Jakub Szela.

**R**ESPONDENT czy przekaziciel powyżej przytoczonej legendy, nie napisał jej samotnie, z własnego postanowienia, ale zachęcony przeze mnie. Natomiast z wewnętrznej pobudki jest rzeźbiarzem ludowym, w całym tego słowa znaczeniu. Do wiejskiej szkółki jeszcze przed I wojną światową uczęszczał i to z przerażeniami, jedynie trzy lata. Dużo czyta, jednak na pełną świadomość rozbioru błędów ortograficznych i prosi, żeby je w razie czego poprawić. Niewątpliwie poziom pisarski W. Chajeca jest ten sam, jak w chwili opuszczenia szkoły.

Trzeba jeszcze zwrócić uwagę, że tego typu umyśły są podobne do bardzo czułych klisz fotograficznych, raz zapełnione obrazem przechodzącą go nieśkażonym do końca. W moim głębokim przekonaniu W. Chajec potwórzył dziadkowe opowiadanie tak, jakim je usłyszał, leżąc z dziadkiem na piecu w czas zimowych wieczorów. Chyba jedynie niektóre wyrazy są w opowiadaniu nowsze, ale niewątpliwie synonimami słów dziadkowych. Przyjmując je należy jako autentyczne, z tym, że przedstawiona legenda powstała bardzo wcześnie, może nawet za życia Szeli, lub wkrótce po jego śmierci.

Za autentyzmem legendy przemawia bardzo sil-

nie jeden moment etnograficzno-folklorystyczny (obok wielu innych). Otóż przyczynę sześciu lat nieurodzaju, a co za tym idzie i głodu — fakt potwierdzony źródłami — jakie nastąpiły bezpośrednio po „rabacji”, legenda widzi w zabiegu magicznym, dokonanym przez żony pomordowanych panów, polegającym na wrzuceniu do grobu „panów” małej ilości zboża i ziemiaków. Dzisiejszemu czytelnikowi, nieobeznanemu z uwarunkowaniami i moc magii, może się to wydawać śmieszne, a jednak... wiarą taka rzeczywistość istniała.

Zajechali na plac przed browarem, przyprowadził właściciela browaru i leśniczego i wiele innych panów. Wtedy mój dziadek i pradziadek wyszli ze swego lasu i patrzy, co się dzieje. Wszystkie przyprowadzili na browar, chłopci obuchami od siekiery bili w plecy leśniczego, leśnego i panów, przypominali im po każdym uderzeniu w plecy: — Pamiętajsz, jakęś mi wziął siekiere w lesie?

Drugi chłop uderzył i przypomniał, jak mu zabrał płachtę, kiedy poszedł po liście na podściółkę. Kiedy bili pana, to przypominali, co się działo w bramie, jak bił na lawie. Potem tego dziedzica różnił pilą żywcem na ziemi. Szela mówił: — różnię chłopów pomaleńku, bo to było „dobre” panosko! Jakub Szela nie bił, tylko dawał zarządzenia. Panie i panny nie zabijali.

Gdy panowie umówili się, kiedy i w który dzień będą chłopów rznąć, to leśniczka napiekła pieczywa na przyjęcie i gościnę dla panów, którzy mieli nadjechać. Jedna kobieta z naszej wioski poszła i zabrała w podół pieczywo i spoczywała na poręczy (oparla toból z pieczywem na poręczy kładki). Naraz toból zwiózł się (przechylił) na drugą stronę, a miała zawiązane pod brodą, byłoby ją uduśilo. Ale że we wsi był popłoch, jeden chłop ją poratował i przyniósł do pieczywo. Potem ta sama kobieta przyprowadziła tłustą jałowkę, zabił ją, podjedł mięsa i pieczywa i poszli dobić panów. Cesarz pozwolił bić panów przez 24 godziny.

Jest nad czem pomyśleć. Szela służył przy wojsku i był pod cesarzem jako starszy oficer. Jego kolega zajął się terenem od Krakowa na południe, a Szela od Tarnowa pod Rzeszów. Nie było wtedy radia ani telefonu, przez co trzeba było ciężkiej pracy, aby się umówić, na jedną godzinę.

W każdej wiosce był dwór. Kolo nas wybili panów do jednego i zwiózli do Siedlisk przed kościół, przed wielkie drzwi. Poszedł Szela na plebanie do księdza Jurcoka, ale księdzka nie było. To Szela kazał stać na warcie na granicy między Kamienicą Górną a Brzezianami, żeby panowie nie uciekali z wioski do wioski. Był parobek księdza i Szela kazał mu zwieźć trupy na

mentarz. Parobek zajął się i zalażył jarzmo na woły wopak; co miało być do szyi, obrócił ku rogom. Wybrali dół i tam wyrwali tę zarzę. Panie, ich żony, podeszły i wysypały do grobu zboża i kartofli, aby nie było urodzaju. I mówił mi mój dziadek, że przez 7 lat lata były strasznie mokre, deszczowne i nie było urodzajów. Potem żony tych panów na tym masowym grobie postawiły kaplicę, wewnątrz jest marmurowa tablica, — co się przestawia z miejsce na miejsce — i są na niej wyryte imiona i nazwiska poległych. Najwięcej Boguszów, dlatego wieś nazywa się Siedliska Bogusz. I jest jeszcze jeden grób, osobny, nie pod kaplicą, na nim leży olbrzymi kamień, na nim imię i nazwisko i żelazne widły wmurowane, że był przebity (pogrzebany) widłami. Na nagrobkach proszą o „Zdrowaś Marjo”.

Jestem wznianiowy (ucierzący, religijny), znam dokładnie Pismo Święte, ale mojem zdaniem to się nie powinno modlić za tymi, którzy takie męki wyrządzali. W tym grobie zrobić ekspozycję (wysadzić w powietrze), żeby święta ziemia nie miała w sobie tych panów.

Po tych panach Boguszach urodził się syn i jakimś sposobem dostał się do Rzymu. Tam wyczył się na księdza i na własną rękę (własnym kosztem) postawił klasztor; tyle miał z hrabstwa majątku. Za dużo (za wiele) lat pisał do księdza z Siedlisk, przedstawil się pisemnie i pytał, po jakich panach są kolo nas dwory, jak się ci panowie nazywali. Oni nazywali się Goralscy, Bogusze i Rutulowie.

Chłopski wywabił, Jakub Szela, otrzymał od cesarza folwark, na wschodzie, na Białorusi. Niedobitki panów dowiedzieli się o nim, poszli tam, odnaleźli go, powiesili na ścianie i żywcem darli z niego pasy. Tak wielki i zasłużony człowiek poszedł śmiercią męczeńską.

Mojem zdaniem i pragnieniem jest, że ktoś powinien się zająć, na jego (Szeli) placu, gdzie był jego dom, powinien stać pomnik żelazny. Ze dwie gminy (Prez. GRN) powinny się tym zająć, przy podatku zebrać po parę groszy.

Nie widzę potrzeby robienia dalszych wyjaśnień, wypadki w r. 1846 są już tak dobrze znane, że czytelnik sam sobie wyrobi zdanie. Chcę dodać, że podobnych legend W. Chajec spisał więcej. Urzekają tak natliwością (rzekoma dobroć cesarza), jak i autentyzmem, fantastycznie oddając atmosferę, w jakiej wychowywały się jeszcze XIX-wieczne pokolenia naszego ludu.

Już na zakończenie: moja rola w przekazaniu powyższej legendy polegała na zachęceniu do jej zapisania, do zrobienia minimalnego retuszu w stosunku do oryginału.

Franciszek Kotula



Zdzisław Ostrowski. Miasteczko.

WACŁAW GRALEWSKI

## Brudne śniegi

**P**ODCZAS pewnej rozmowy zwróciłem uwagę że mój rozmówca to pochyla się naprzód, przy czym ugina prawy bark, jakby zarażał nań ciężar, to znów cofa go zniechęca, jakby uchylał się przed ciosem.

A może to tylko defekt barku, taka niewielka nieprawidłowość, coś w rodzaju niedużego garbu?

Rozmówca mój wstał. Był dość wysokiego wzrostu, szczupły, sprężysty. Ale idąc, opuszczał głowę i pochylał barki. Dowiedziałem się później, że był więźniem obozu koncentracyjnego przez kilka lat i że zmuszany był do dzwigniania ciężarów przy czym często spadały nań razy.

Przypomniała mi się jego sylwetka, gdy zacząłem czytać „Brudne śniegi” napisane przez Janę Marię Gsiges. Przypomniała mi się przez skojarzenie.

Gsiges, w przeciwieństwie do innych autorów książek o tematyce obozowej, akcent kładzie nie na makabrę, ale na treść życia codziennego więźniów. Człowiek w każdej sytuacji jest tylko człowiekiem i do obozu wchodził z całym bagażem swych myśli, pragnień, planów, zamiarów i dążeń. I bagaż ten żył razem z nim i tak jak on pod wpływem stresu lagrowego deformował się i przybierał różne formy. Niektóre z nich przechodziły w nawyki. Żołnierza ubranego w cywilne ubranie poznajemy po wojskowym kroku, a i więźnia, kiedy pasiak zamienił na marynarkę, można poznać po postawie i ruchach.

Życie w obozie miało też swoje drobne smutki i radości, nieporozumienia i zadrzażenia, sympatie i nienawiści. I nie zacierano go memento mori, którego widomym znakiem były smoczce drzewa — kominny krematorii. W tych zwykłych codziennych zjawiskach człowiek szukał ucieczki od głównego nurtu, jakim była praca ponad siły, zniechęcia się i tortury i wreszcie marsz ostateczny do krematoryjnego paleniska.

A ci, co wbrew nadziei (a może wraz z nią) przeżyli i wyszli z obozów i zabrali stąd cały swój bagaż przeżyć i doznań, wielkich wspomnień, a przede wszystkim gorzkości, jakże często intymnych.

Ten właśnie bagaż, którego nie jest łatwo pozbyć się, nawet po latach, modeluje ich ruchy, ich postawę ich gesty. A nawet sposób mówienia i patrzenia.

Problemem psychologicznym staje się zagadnienie, czy można w ogóle pozbyć się go i czy nie stał się on mityczną koszulą Dejaniry, jakże jednak realnie przylegającą do grzbietu? Czy istnieje — jeśli nie powróć do dawnego nieskażonego życia — sposób wyubliwienia tego ciężaru i zamienienia go w nowy kształt egzystencyjny?

To problem, który nie mieści się w ramach artykułu czy eseju. Wymagalibyśmy raczej dużej powieści, w której trzeba by przez psychologiczną analizę dojść do uzasadnionego wniosku. Głęboko sięgają korzenie śmierci — mówi tytuł głośnej amerykańskiej powieści, ale na pewno głębiej sięgają korzenie życia i bujniej wyrzucają sokli ku górze.

Myślę, że Gsiges jest predystynowana do napisania takiej powieści. Jego „Brudne śniegi” są jakby jej konspetkiem. Ileż na przykład raso-

wiąże wspomnienie ze spotkania w latach szkolnych z młodą Cyganką i odnalezieniem jej później w obozie. Ta miniatura miłości jest niemal scenariuszem filmu wyreżyserowanego przez życie.

Jest jeszcze inny świat, innych ludzi z innym bagażem. Ci, którzy byli panami życia i śmierci więźniów, którzy byli katami i zwykłymi oprawcami, ci, którzy ognie pieców zniszczenia podtrzymywali latami.

Te kadłubowe procesy, które się toczą w NRF, ukazują inne postawy i inne ruchy i odruchy, może nazbyt nerwowe w oczekiwaniu czasu, kiedy zbrodnie uznane będą za przedawnione. Niosą oni również swój bagaż, a jeśli chcą się go pozbyć, to tylko chyba dla zatarcia śladów. Ani jeden dotąd głos skrzyku, ani jeden głos obudzonego sumienia nie odezwał się w tych szereгах ani na procesach, ani w wypowiedziach otwartych, np. w literaturze. Zaden z pisarzy zachodnio-niemieckich nie napisał książki której bohaterem byłby właśnie ludobójca i którego ruszyło sumienie. To milczenie jest wielkim symptomem i znakiem szczególnym środowiska. Ono też jest odruchem, mówiącym tak wiele, jak pochylony bark byłego więźnia...



### Sensacja sezonu

W paryskim teatrze Ateneum sensacja sezonu stała się wywołana przez Jana Vilara „Sprawa Oppenheima”, inscenizacja przestępstwa znakomitego fizyka przez komisję do spraw atomowych. Sztuka zajmuje się problemem — uczony a państwo. „Co by pan uczynił wczoraj (a może jutro), gdyby pan był Oppenheimerem?” — z takim pytaniem zwrócił się „Les Nouvelles Littéraires” do szeregu wybitnych przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych. Jak powinien zareagować uczony w wypadku otrzymania od rządu zlecenia, które uważa za niebezpieczne albo wręcz zbrodnicze?

### Niedozwolone dla dorosłych

Cykl widowisk, które telewizja włoska zamierza poświęcić włoskiemu teatrowi, został stoperdowany przez cenzurę „w imię moralności publicznej”. Jak informuje „l'Unita”, urzędowi Katońi nie puszczają na srebrny ekran m. in. „Córki Jorja”, jakoby dlatego, że Gabriel D'Annunzio uczynił główną postaćią tragedii dziewczynę upadłą. Podobny los spotkał Pizandellowe „Sześć postaci w poszukiwaniu autora”, bo akcja jednej z najmocniejszych scen toczy się w lupanarze. Tymczasem, jeśli sądzić po nie zapomnianych jeszcze procesach, wyżsi dostojnicy włoscy niekiedy nie miewają zbyt daleko posuniętych skrupułów w sprawach erotycznych.

### Zniżka na strachy

Właściciele amerykańskich wytwórni filmowych wpadli na pomysł szerszego udostępnienia młodzieży poniżej lat czterdziestu tzw. „Blood days”. 21 nowo-

# Niepełne bogactwo

**O**TWARTA w lutym w lubelskim BWA wystawa współczesnej grafiki polskiej stała się niewątpliwie wartościowym wydarzeniem naszego życia kulturalnego.

Zalety jej równoznaczne były z samym faktem udostępnienia dzieł kilku wybitnych grafików krajowych w ośrodku rzadko odwiedzianym przez podobne zestawy. Zobaczyliśmy prace, których autorzy opracowali własne techniki graficzne, odnowili inne, lub wzbogacili warsztat techniczny w sposób dotąd nie praktykowany. Nawet niewielka orientacja w sprawach „kuchni graficznej” pozwala jednak zrozumieć znaczenie nowych rozwiązań w dziedzinie sztuki, w której wizja artysty przenika się całkowicie z techniką wykonania, jak w żadnym innym gatunku artystycznym; grafika dopiero wtedy jest dziełem pełnym i skończonym, kiedy oryginalna wizja plastyczna konkretyzuje się w równie własnym ujęciu technicznym — formalnym.

Przekonują o tym widoczne na wystawie prace Andrzeja Rudzińskiego i Haliny Chrostowskiej (obydwójce z Warszawy), które zaliczamy szeroko dziś nurt technik metalowych, bardzo złożonych, bo wykorzystujących w jednym dziele i akwafortę i akwafortę, ryłce i suchą igłę, a wszystko to w celu zwiększenia skali możliwości wypowiedzi grafiki, wkraczającej w obszar malarstwa, pozbawianego na dodatek przywileju postępowania się wielkim formatem.

„Cztery postaci” Chrostowskiej przedstawiają się z pewnego dystansu jako zespół czarnych malarskich plam, po przecięniętych jasnymi smugami światła, a dopiero z bliższą widziwną, że wszystkie wysmakowane przejścia walorowe tworzą strukturę nakładanych, krzyżowanych linii o różnym natężeniu szarości i czerni, zalamujących się na brzegach głęboko trawionych, „aksamitnych” powierzchni; bogata wyobraźnia twórcy materializuje się w równie zabawnej fakturze prowokującej refleksję i różnorakie interpretacje.

W podobnych technikach wykonane są prace Konrada Średnickiego i Edmunda Piotrowicza, które reprezentują już odmienne typy wyobraźni twórczej.

Dzielnictwo „Kłosa” i „Tygodnik Ilustrowany” przywróciły naszym przodków do drzeworytu zwanego reprodukcyjnym, a do którego nie miał niemal żadnych punktów stykowych ze sztuką, pełniąc funkcje szerszej fotografii prasowej. Młodsza generacja rodzimych i dwudziestoletnia, w której obecność była pod wrażeniem twórczości Skoczylasa (z jego szkoły), obdarzonego słusznym zresztą mianem odnowiciela autentycznej sztuki drzeworytniczej zgodnej z charakterem twórczym.

W naszych czasach sposób rytowania właściwy dla Jerzego Panka, w niczym już nie przypomina poprzedników. Wyściszycy wzięć kłosek, wydają się mówić drzeworytu Panka „Słodochroniarz IV” i „Pastuch III”, wyrzyc w nim kilka linii i odbić „to” na papierze. Przy pomocy tej prostej metody uzyskuje on jednak rezultaty zadziwiająco intelektual-

Jorskie kina wpuszczają dziatwę na „krwawe dni” za pół ceny. Zachęcając do korzystania z tego dobrodziejstwa, „Variety” różnicuje postawę przedwojennego Frankensteinia i Draculi wobec ich ofiary: pierwszy potwór jedynie morduje ludzi, drugi — wysysa takomie krew.

### Za późno na szkole

Krytyk dziennika „Le Monde”, przeanalizowawszy program paryskiej rozgłośni radiowej za ostatnie trzy miesiące, stwierdza w nich brak tendencji rozwojowej. Dostało się zwłaszcza audycjom nadawanym w godzinach wieczornych, kiedy to radioluchaczom — o tej porze przeważnie samotnym osobom starszym — umiała się czas... obfitymi audycjami szkolnymi.

### Przeciw asekurantwom

Na lamach pisma „Sowietskaja Kultura” artysta ludowy ZSRR Akimow atakuje krytyków teatralnych, którzy nie mogą zrozumieć, że publiczność chce widzieć na scenie życie w całej jego złożoności. W życiu czynności lotów, kanciarzy, biurokratów nie są przedmiotem przekonsultowane z żadną radą artystyczną, ani inną autorytatywną instancją. Pokazanie lotra w teatrze może być — w pewności bardziej pouczające dla widzów, aniżeli sztuczne usunanie go ze sceny. Nauka nie potrafi jeszcze regulować narodzin geniuszów, wszakże możemy tworzyć warunki nie urodniające rozwoju talentów dramatopisarskich.

### Jak urzeczywistnić marzenie

Każdy aktor pragnie zagrać pewną wielką rolę, w której, według jego przekonania, ukazuje pełnię swego talentu. Atoli sporo przed laty piętrzy się za zrywając na drodze ku powołaniu, zwłaszcza w teatrze, gdzie zespoły są duże, a premiery rzadkie. Z uwagi na to — sekcja twórcza i klub młodzieży teatralnej Centralnego Domu Aktora Wschodniopolskiego Teatru Teatralnego zaliczowały tzw. wieczory „rol niezagranych”. Na wieczorze inauguracyjnym swoje „ochotnicze”, pozareperaturowe prace udemonstrowało kilku młokwiskich artystów i artystek... cieszących się uznaniem w kraju i za granicą.

na konstrukcją ascetycznie stosowanych linii, kształtujących sublimny przedmiotów i ludzi.

Chrostowska i Panek określiła dwa przeciwległe typy naszej grafiki współczesnej, za którymi stoją odmienne osobowości twórcze, obie bogate, lecz przy pomocy innych środków realizujące swoje koncepcje. Ich popularność wśród młodych grafików kryje w sobie niebezpieczeństwo zbyt dosłownego wzorowania się na twórczości obydwojga wiele przykładów dostarczą ostatni warszawska wystawa okryta, a i Lublinie znane są przypadki „szeregię” czerpania, szczególnie z grafiki Panka.

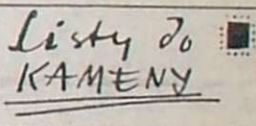
Polska grafika współczesna jest jednak nadal niezwykle różnorodna i wystawa w znacznej mierze fakt ten potwierdza. Obok symulacyjno — metaforycznych linorytów Suberlaka, ogólnie znanych i rozumianych dzięki przejrzystej koncepcji, widzieliśmy celię grafie Maliny, który kształt ludzki sprządza do płaskiej sylwetki, całą warstwę ekspresyjną przetrzucając na dramatyczną fakturę.

Torun reprezentują zrównoważone płaszczyzny barwnych akwafort Narebskiej — Debickiej, akwaforty i drzeworytu trojga Kotlareczków oraz zaliczone ludzkimi postaciami i pełnym humorem drzeworytu Jakubowskiej.

Ten liczny, bo niemal sto prac obejmujący zestaw, ekspozowany poprzednio w Belgii, w znacznym stopniu uzmystawia charakter i problematykę naszej grafiki, jeszcze raz przekonując o jej wartości uznawanej niejednokrotnie na międzynarodowych imprezach.

Jednak przy wszystkich swoich zaletach wystawa nie pokazała pełnego oblicza współczesnej grafiki polskiej; zobaczyliśmy ją w niepełnym kształcie, pozbawioną kilku wybitnych artystów, bez których trudno dziś mówić o „grafice polskiej”. Tak więc „uniknieszmy” konfrontacji z biologiczną introspekcją Gielniaka, którego dzieła zajmują poczesne miejsce w muzeach krajowych, w Museum of Modern Art w Nowym Jorku, Musee d'Art Moderne w Tokio, żeby wymienić pierwsze z brzegu. Także brak na wystawie Wójtowicza, Majewskiego, Mianowskiego, Młodzianowskiego, Wejmana czy Kunza, nie zostały dostrzeżone pełnego bogactwa sztuki wielkiej wyobraźni i wielkiej cierpliwości.

Ireneusz J. Kamiński



### W obronie parku

Z oburzeniem przyjęliśmy decyzję wyłączenia drogi przez puławski park. Rozumiemy potrzebę rozbudowy dróg w związku z powstawaniem Zakładów Azotowych „Puławy”, lecz dlaczego akurat trasa ma przebiegać przez zabytkowy park? Wprawdzie projektanci tłumaczą, iż taka trasa jest najbardziej ekonomiczna, lecz my nie możemy pogodzić się z koniecznością wycięcia z tego powodu wielu pięknych drzew w parku. Dzielni nas, że zgodę na wycięcie szosy przez park uzyskano od... komisji konserwatorskiej Zarządu Muzeum Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki. Zwracamy się z apelem do władz wojewódzkich, a szczególnie do przewodniczącego Prezydium WRN w Lublinie, mgr Pawła Dąbka, o sprzeciwienie się tej decyzji, gdyż nie można dopuścić do dewastacji parku, pozbawienia Puław wielkiej oazy zieleni.

Podpisy 40 osób

### Nie ufam KT

Kupiłem ostatnio tom reportaży A. Malachowskiego „Rzeczniepospolita”, wydany przez „Iskrę”. W trakcie czytania stwierdziłem, że w książce brak kilkudziesięciu stron zakończenia. Dla odmiany w reportażach „Niepiękne dzielnice” (wyd. PIW) brak było w środku książki kilkudziesięciu stron, a numeracja wielu została pomylona. Na obu książkach widniały znaki KT. Nauzoczony doświadczeniem, skróć KT odczytuje teraz nie jako „kontrola techniczna”, lecz „knot techniczny”. Na szczęście, książkę wymienilem. Księgarze bardzo się ucieszyli, bo takie „kwiatki” podwyższają im obrót. Książki zwrócić bowiem wydawnictwom, a otrzymane egzemplarze znów sprzedają, lecz bez odliczenia zwrotu ceny. Stouem — dla handlu — im gorzej, tym lepiej...

T. K.

Puławy, ul. 22 Lipca

Beer

„Student, jakiego nie znamy”

## Interesujący konkurs

Pragnąc przyczynić się do dalszej popularyzacji zagadnień życia lubelskiego środowiska akademickiego, Rada Okręgowa Środka i Lubelski Oddział SDP, ogłaszają ZSP i lubelski dziennikarzy na konkurs „Student, jakiego nie znamy”. Jego celem jest ukazanie ciekawych form pracy społecznej, działalności oświatowej, kulturalnej, społecznej i zawodowej, zagadnień związanych z staw ideowych, turystyka itp. Na konkurs wysyłać należy prace opublikowane w nawiązaniu do ewentualnie zakwalifikowanej prasy i radio. Jeden autor może nadesłać przez redakcję trzy raporty, z których ścieżka najwyżej do nagrody. Termin każdy pretenduje do nagrody. Termin ogłoszenia i nadawania prac obejmuje okres od 10.II.1963 r. do 30.IV.1963 r. Restrykcje konkursu następują: m.az. Restrykcje konkursu są następujące: m.az. 1963 r. Przewidziane są następujące nagrody:

1 miejsce — dwutygodniowy bezpłatny pobyt w Bulgarii lub Rumunii.  
2 miejsce — dziesięciodniowy bezpłatny pobyt nad Bałatonem oraz trzy wyroby 500-złotowe — fundowane przez ZSP, Włodzimierz Smutek — zastępca naczelnego redaktora „Sztandaru Ludu”, czelnygo redaktora „Sztandaru Ludu”, Lesław Gnot — naczelnego redaktora „Kullesaw Gnot”, Marek A. Jaworski — naczelnego redaktora „Kamień”, Michał Skalenajda — prezes Lubelskiego Oddziału SDP, redaktor naczelny Polskiego Radia w Lublinie, wybrany spośród sędziów przewodniczącego, któremu przysługują dwa głosy. Do jury należy interpretacja przepisów konkursu.  
Prace należy składać w sekretariacie Regionalnego Polskiego Radia w Lublinie.

## „Estrada“ i nowa scena

# Wygoda zobowiązuje...

**E**STRADA — zyskała salę widowiskową — tym samym i Lublinowi przybyła nowa scena. Potrzebna i pożyteczna. Dotychczas jeśli „Estrada” sprowadzała lub organizowała imprezy, musiała przystać z sal kinowych. Było to kłopotliwe dla obydwu stron i obniżało poziom widowiska, w którym jaskrawo występowały cechy przypadkowosci.

A teraz tu już we własnym lokalu i jak to się potocznie mówi — na własnych śmiechach.

Jest to wygodne, ale zobowiązuje „Estradę” do poważniejszych wysiłków organizacyjnych.

Inauguracja odbyła się w niedzielę, 14 lutego br., podwójnym występem warszawskiej trójki w składzie: Stefania Grodzieńska, Jerzy Michotek i Jerzy Pietraszkiewicz. Grodzieńska zaprezentowała się jako aktorka i autorka tekstów, Michotek jako piosenkarz a Pietraszkiewicz jako autor skeczów i monologów. Słowaami wiazącymi i wprowadzającymi kierowała p. Stefania jako, że jak to sama określiła, jest najbardziej „pyskata” w tym zespole.

Nie można tej trójce, która zatyłowała swój występ „Nas troje i nastroje” — odmówić i rutyny i kul-

tury aktorskiej, tyle tylko, że występów w Lublinie potraktowała jako wypad na prowincję. (Dla chleba, panie dla chleba!) A więc i garniturki spacerowe (trochę pomięte) i teksty pisane według taryfy ulgowej. Dla przykładu pointe'a jednego z utworów — „kto ma taką żonę to idzie żywym do nieba.” Dziś to nawet i w przyszłowym Grójcu z tego się nie śmieje.

Mocnym punktem programu były piosenki i sztuka piosenkarstwa Michała i monolog Grodzieńskiej o zagubionych latach.

Konferansjerka improwizowana, ale... źle przygotowana.

Nie sprawdziło się więc przysłowie — omne trinum perfectum.

Zdawałoby się, że na inaugurację nowej sceny „Estrada” powinna przygotować coś extra, uczynić wysiłek, aby zaakcentować i ujawnić swoje możliwości, pokazać, czym jest i czym chce być w lubelskim życiu kulturalnym. Może i były takie zamierzenia, a skończyły się na jeszcze jednym przygodnym występie gościnnym.

Nowa sala wypełnia lukę w Lublinie. Prakowało jej. Może stać się ona siedzibą nowego kabaretu literackiego (niekoniecznie musi to być przeprowadzka „Czarta” spoza Bramy Krakowskiej na Pstrowskiego), może być miejscem odczytów, wieczorów dyskusyjnych, spotkań autorów z czytelnikami itp. I wielu innych. W zależności od inwencji i pomysowości organizatorów. Wydział Kultury Prez WRN zastanawia się nad tym problemem.

W. G.

P. S. Nowa sala ma tylko jedną wadę — dość skomplikowaną wejście. Najpierw idzie się długim korytarzem, potem w górę po schodach, potem przez poczekalnię, no i wreszcie dociera się do właściwych drzwi. A wyjście znów w drugą stronę korytarzem, po schodach itd. Budynek poklaskostny jest małym labiryntem — nie ma rady. Dlatego tym bardziej trzeba dbać o frekwencje, bo inaczej z zakamarków wysuwają się bea... duchy.

# „Ziemia Chełmska“

**U**KAZAL się nowy numer wyhodowany sporządzenie, ale jednak wytrwał „Ziemi Chełmskiej”. Tym razem wiąże się on głównie z centralnymi uroczystościami inauguracji w obecności ministra kultury i sztuki nowego roku kulturalno-owalutowego, z sześćdziesięcioleciem istnienia Amatorskiego Teatru Ziemi Chełmskiej i z tryadą pierwszą rocznicą powstania w Chełmie „Kamień”. W numerze zamieszczono fragmenty przemówienia wygłoszonego z tej okazji przez sekretarza KP PZPR Tadeusza Dadośa, obłożeniowcy (był subiektywny i niepotrzebnie utrzymany w sugestywności) artykuł K. E. Steszuka „Chełmski jubileusz”, imprezę wspomnieniową Z. Popowskiego „Pierwszy numer „Kamień”, wiersze W. Heczekiego, W. Koszwał, M. N. Listowskiego, W. Mrozowskiego, L. J. Okonia, K. E. Steszuka, C. Twardzika, poetów ludowych: Mich. Borodę, Sab. Horzeckiej, Fr. Matery i Józ. Sardyka oraz najmłodszych: Z. Oronia, T. Sadowskiego i lubartowianina J. Łulka. Satyrę reprezentują C. Twardzik, T. Molitani i A. K. Piwowarczyk. Do materiałów historycznych należą „Rodowód Zofii Rejowej” S. Skibińskiego, „Kartka z dzieł Wojciecha J. Góraka, „Rok 1863-1864 w tradycji ludu chełmskiego” L. J. Okonia, S. Skibińskiego, z czasów późniejszych — sylwetka Michała Kosowskiego — chłopskiego poety rewolucyjnego, a z okupacji — „Martyrologia jeńców wojennych w Chełmie” T. Dadośa i „Byłem świadkiem zbrodni” K. E. Steszuka. Recenzja Z. Popowskiego książki W. Mrozowskiego „Cyganeria”, drobiazgi etnograficzne L. Eliaszkę i L. J. Okonia oraz artykuł C. Twardzika „Niwa czeka” uzupełniają numer. W artykule tym autor służył... wadzie nałask na konieczność „zbliżenia dwóch środowisk: istniejącego i działającego od dawna na terenie starego miasta i tego najmłodszego, rekrutującego się a inteligencji technicznej Cementowni Chełm. Oba te środowiska żyją oddzielnymi, zamkniętymi w swych kręgach życiem”. Fotografia (z odwołaniem tablicy upamiętniającej jubileusz „Kamień”) oraz przetrzyniki T. Sibiorka.

## Odpowiedzi Redakcji

ST. K. w WISZNICACH. To są dopiero pierwsze próbki. Bardzo słabe.

B. S. w WITKOWIE. Zasadniczo zamierzamy zamieścić w przyszłości pochodzących z czterech wschodnich województw. Inne tylko wyjątkowo. Nie skorzystamy.

ST. R. KOR. w WROCŁAWIU. Otrzymałmy pięć wierszy, ale nie napisał Pan, w jakim celu je wysłał.

LESZ. EL. w CHELMIE. Może zamieścimy wiersz „Szeptali...”.

# TEATR na szklanym ekranie

## Norwid dla wszystkich

**N**AJPIERW ukazała się wiewieta — kompozycja z realnych elementów: księgi, róży i trzniej czaszki. Obok tych rekwizytów romantyzmu spoczęła żywa a wyidealizowana postać ludzka. Symboliczna — czy po prostu estetyczna — prezentacja spektaklu sprzedano widza, że u... chwile na ekranie nie białą komedijkę, lecz dzieło dotykające jakiegoś OGO-LU.

„Zadaniem krytyki — powiedział Norwid o sztukę życia — jest wyzyskać i postawić ją w właściwym miejscu i otworzyć okno — pozostawiając resztę światu i czasowi — nie więcej!” Niestety współczesni poeci komentatorzy nie potrafili skorzystać z tej refleksji. Ich to oświeślenie zapewne sprawiła, że „Pierścień wielkiej damy” został wyprodukowany dopiero w 1933 roku, a wystawiony w eksperymentalnej Reducie Ostery w roku 1936. Ale ostatnia burza dziejowa rozwarła „okno” na oścież i wtedy, w świetle dnia dzisiejszego, okazało się, iż nadchodzi właśnie czas przychylne Norwidowi. Świadczy o tym nie tylko fakt edytorski i sceniczny, ale w końcu, jak widzimy i TV (bada) powtórnie) udostępnia „Pierścień...” szerzenie ogółowi. Jest to chyba jedno z największych osiągnięć do odnotowania w jakości telewizyjnym.

Norwid pragnął, by jego „Tragedia biała”, dramat dzieł bez przewidywania, „niemniejszy dla osobnego czytania i dla gry scenicznej przedstawiał interes”. Bardzo trudny warunek do spełnienia na normalnej scenie, skąd głęboka myśl Norwidowa nie sięga w pełni widowni, choć widzami są ludzie, którzy zechcieli zobaczyć sztukę Norwida. Powoduje to ryzykowną praktykę skreślenia, którą reżyserzy teatralni stosują do dialogów zagęszczeniu aforystyką wymagającą „utrudnienia się”. Jakież wobec tego rygory można narzucać w tym względzie reżyserom telewizyjnym? TV dostarcza widokowi do domu nie różnicę po-

siadaczy telewizorów. Uzyskuje tedy niejako przywilej na pewne ułatwienia i skróty, tym bardziej, że spektakl trwa zaledwie godzinę i dziesięć minut.

Trzeba przyznać z satysfakcją, iż reżyserzy telewizyjnego „Pierścienia wielkiej damy”, Andrzej Szafraniecki i A. Miński, wzięli wykorzystali ten przywilej z dużym taktem. Mimo znacznej kompresji scen i dialogów, tragizm cichego poszukiwacza prawdy we wrogim mu świecie został ukazany z całą wyrazistością. Nie tu miejsce na dochodzenie, w jakim stopniu „wysoka komedia” Norwida odżyła dzieje jego niesześciennej miłości do Marii Kalerigi, odczyt europejskich salonów arytokratycznych. Znaczenie więcej obchodzi nas to, że Norwid już przed Prusem nakreślił wierny wizerunek pewnej odmiany światłości „lalki” i dobitna charakterystykę sfery, która takie postacie wytwarza. Nie z tego spektaklu nie uronił.

Przedstawienie pokazane na małym ekranie w poniedziałek 15.II, było na czechowanie nieprzeciętną kulturą. Sytuacje dynamiczne w miarę i oszczędna scenografia (K. Z. a n i e w s k i e j) Zbliżyły do telewizja tekst, w którym ograniczono, a nie się dało, jego głęboką refleksyjność. Rola harabury stała się jedną z najlepszych kreacji Niny Andrycz, celnie podkreślającą polarcie pozorowanego sentymentalizmu Marii z jej świętokoświatością. Precyzyjną mimiką przykuwał uwagę Czesław Woliński, a zachodzą „samokrytycznie” Graf Szeliga. E. Fetting wdośmiestował ciekawie przejście od wstępnych, nieco pasterskich, „Filonowych” tonów do szerszych akcentów znieważonego Czwika. Subtelna gra miłosa Magdaleny Tomir znalazła wnikliwa odtworzenie w osobie M. Szarlatów w y. Wszystkie inne postacie — na poziomie. Odbne komplementy od widzów należą się B. Ludwizance (Klementyna Durejkowa), B. Rachwańskiej (odzwierciedlenie Salome) i Z. Mrozewskiemu (Sędzia Durek).

M. B.-R.

## „Program z mokrą głową“

Teatrzyk studentów UMCS „Gong II”, kierowany przez Andrzeja Rozhina, jest jedną z nielicznych wśród zespołów akademickich scen poezji. Wiele bardzo ciekawych — z uwagi na dobór tekstów i wykonanie — programów zdobyło mu uznanie zarówno w lubelskim środowisku jak i w innych ośrodkach akademickich.

Ostatni program ma inny, daleko odbiegający od tradycji „Gongu” charakter. Mam na myśli szopkę noworoczną.

Swoboda i wdzięk aktorów, tempo zmieniających się numerów programu, mogły podobać się nawet bardzo wymagającym widzom. Jednakże o jakości przedstawienia przede wszystkim zdecydowały teksty, których autorami byli: Jerzy Ksiński, Kazimierz Łojan, Władysław Ziemiński i Piotr Skarżyński.

Właśnie tematyka wydaje mi się godna szczególnej uwagi. Tradycyjne szopkowe wykpiwanie charakterystycznych postaci czy też zjawisk, w „Programie z mokrą głową” (taki jest tytuł przedstawienia), stało się podstawą do zaprezentowania, co studenci myślą o sobie, co

im się podoba lub nie podoba, jakie sprawy kwalifikują się do przemyślenia a ewentualnej zmiany. W swojej i żartobliwej hierarchii znalazły się zagadnienia ważne i blache, prześladowanie, wręczcie tzw. „problemy z przyszłością” — wreszcie sprawa wyboru pracownika absolwentów uniwersytetu, traktowana również pod kątem spłacenia długu zaciągniętego wobec społeczeństwa.

Nie były pozabawione cietej ironii zastrzeżenia na temat niektórych form działania studenckich instytucji i obliczeń integralnych żakowskich urzędów.

Cięta satyra wytknęła różne nieszlachetne nawyki studentów, niekiedy nadmierne i nieracjonalne podejście do sztuki ze strony zespołów akademickich, organizowanie na prowincji typowej instytucji — obliczenia. Cała ta mroźna problemowa — a pokazano również w krzywym zwierciadle różne lubelskie instytucje — bynajmniej nie przytaczała widza. „Gong II” dostarczył wszystkim milej rozrywki i chyba... po buzdził do refleksji. (b)

## Baedeker literacki

JÓZEF HEN: TOAST  
WYDAWN. LITER. 1961.

Nie wiem, co lepiej: czy najpierw przeczytać sfilmowaną powieść czy najpierw obejrzeć film na powieści oparty?

Mam wrażenie, że jednak lepiej przeczytać książkę, by pierwocin literacki korygował wersję filmową, a nie odwrotnie. Niestety, „Prawo i pieść” obejrzałem najpierw w kinie — film to reszta światny; skoncentrowany na temacie, oszczędny w rozważaniach, świadomie dopasowujący „westernową” konwencję do polskiej rzeczywistości. Jeszcze pod wrażeniem kreacji Holoubka-Koeniga przeczytałem powieść Hena. Książka również dobra, miejscami nawet lepsza od filmu (Nie wiem np. czemu reżyser zrezygnował z kapitalnej postaci Cuihermana — filozofującego słusza — Zyd).

Bardzo łatwo obie wersje „Prawa i pieści” zestawiać ze sobą, gdyż z wyjątkiem kilku szczegółów film jest dokładnym „zwywieniem” powieści.

Np. w filmie postać Niemcelego jest wyrazista, bardziej „czarna”, nawet zewnętrznym. Natomiast Koenig (w filmie Andrzej) — w książce Henryk, choć Holoubek gra go znakomicie, jest na papierze postacią bogatszą psychologicznie. Książka Hena — współczesny polski moralitet w kowbojskich konwencjach — zdaje egzamin jako

scenariusz i jako powieść. „Prawo i pieść” trzeba koniecznie zobaczyć i przeczytać — przeczytać i zobaczyć. Kolejność nie sugeruję, jak kto woli.

B. K.

## Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium. Redaktor naczelny: Marek Adam Jaworski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7. Telefon 36-65. Redakcja rozpłaca kwart. ul. 12, półrocznie ul. 24, rocznie ul. 48. Zamówienia i preplaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonują się preplaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie ul. 16,8; półrocznie ul. 35,4; rocznie ul. 70,8. Zamówienia i wpłaty przyjmują PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wroni 23. Nr konta PKO 1-6-16694 oraz „Ruch” w Lublinie, nr konta PKO 1-6-16694. Lubelski Zakład Graficzny im. PKWN Lublin — Unicka 4.  
Zam. 567. 16.II.65. 3000, H-3.

## Wzruszenie i wiedza

Teatr Telewizji wystawił ostatnio na małym ekranie tragedię J. Goethego „Ifigenia w Taurydzie” w do konalnej inscenizacji telewizyjnej I. Sobierajskiej. Przekład dokonał E. Csaro, reżyserował E. Axer. Uwagę zwracała znakomita obsada aktorów: Ifigenia — Erala Z. Mrozowska, Toasa — H. Borowski, Orestesa — T. Lomnicki, Pyładesa — Z. Zapasiewicz i Arkasa — J. Kondrat. Ten znakomity zespół dał koncert gry na najwyższym poziomie. Dzieki temu, jak również dzieki bardzo dobrej scenografii O. Axera, telewizywnie w spektaklu trwałym ponad godzinę, z zapartym tchem śledzili niesłychanie interesujący rozwój akcji.

Tragiczne losy królewskiego rodu Tantal, przekleństwo bogów ciążyące nad tym rodem, do którego należało roduństwo: Ifigenia i Orestes, w jakim

sposób stały się zrozumiałe i bliskie odczuwaniu współczesnego widza. Może była to zasługa świętego słowa wstępu, a może dlatego, że chyba większość widzów obejrzała w ostatnich miesiącach doskonały film produkcji greckiej „Elektra”, z którego ci, co nie znali tej antycznej tragedii z tekstu, poznali jej część dotyczącą rodziny Agamemnona.

Jestem przekonany, że miliony widzów po obejrzeniu „Ifigenii w Taurydzie” odczują od małego ekranu nie tylko bogactwo i najszlachetniejsze wzruszenia, lecz również o konkretną porcję wiedzy. Należą się także słowa uznania za inscenizację tego, bardzo trudnego dramatu, za uczynienie go bliskim i zrozumiałym dla każdego.

(Stew.)

# List do Zygmunta Mikulskiego

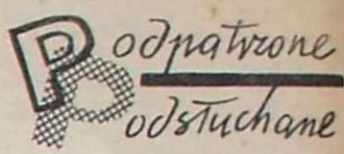
Panie Mi!

Piszę do pana bez osobnika „szanowny”, w sposób logicznie wyszaryczający, bo nie znalazł pana osobicie nie mogę „szanować”, nie bujajmy się. A więc bez kontredansów — bardzo mi się podobał w numerze 1-2 „Kamery” pański „Bon ton à la Jourdain” (tak się to powinno pisać, nazwa pani od francuskiego mówią, że nad a nie stawia się accent aigu, tylko ten ich accent grave — à). Otóż ja również głoszę za prostotą społeczną i z miejsca po przeczytaniu artykułu wszcząłem konflikt z moralnością mieszczańską i obyczajową tandetą. Mieliśmy na obiad knedle z mrożonymi litwkami, za którymi przepadam. Więc zdjąłem chętnie na repete, a że półmisek stał kole matki, przysunąłem go sobie bez „koncertu bontonu”, bo jak półmisek postawiono na stole, to zawartość nie stanowi prywatnej własności rodziców. Tymczasem stary mrunknął się złością: „Nie mogłem powiedzieć „proszę”? A mi mu mówię, że nie jestem Kolasidski od „Matysiaków”, że by wędrować w honorowym szpalerze „prób” i „lask”, jak panna młoda w „Marszu weselnym”, i że „dobrze wychowana frazeologia” cofa nas w fin de siècle (to się dzieje też się pisze z utrapionym accent grave). Chciałem jeszcze dodać, że „zawawa na Dunaj kabotyństwa”, ale stary wrzasnął jak „Jeleń na rykowisku do płócien Gaugulina”: „Paszol won, ty g.....! I zostałem bez repety. Zadnego już bontonu nie było. W budzie też niełatwo agitować za normálną prostotą, bo jestem „pod terrorem gruboskórów”, którzy bez pardonu stawiali mi dwie pokrywające, jak by się pan wyraził, ten „kanclasty i kantulatory postępki” konwencjonalnym słówkiem „walkoń”. Jednak Staskowi (to mój kumpel z ławki) mówiłem, że urzędnikom nie trzeba dawać „łapówek w postaci słówek” i że „u Słowian

ociętych nie strącaj taranoli w tramwajach, ale i nie schodzą łóściami”. A on powiada, że mają metro. Co pan na to? W ogóle chciałem się z panem spotkać, mam różne pytania, np. czy można powiedzieć „przepraszam”, kiedy się komu nadeptę na nogę i czy byłoby gorzej, gdyby ojciec wiede przy tych knedlach zamiast „paszol won, g...” powiedział „na zdrowie, Janku”. Czeka na odpowiedź.

Jan Alojzy Kierpiec

Uwaga dla redakcji: Jeżeli wam odpowiada, możecie na razie podać w druku tylko pierwszą literę mojego nazwiska. Wydrukuję się całe przy wierszach, które przyjdzie za tydzień, jak przepiszcie. Mam już dziesięć gotowych.



W pierwszych dniach lutego prof. dr Stanisław Liebhart wygłosił w klubie „Nora” prelekcję o bezpłodności. Dziennikarze reklamowali to pod tytułem „Dlaczego państwo Kowalscy nie mają dzieci?”. Dwie godziny przed prelekcją ktoś dzwonił do mieszkania profesora: „Jeżeli pan wygłosi prelekcję, wnioszę sprawę do komisji dyscyplinarnej za zdradę tajemnicy lekarskiej. Tu mówi Kowalska...”

Plastyk lubelski Włodzimierz Borowski wystąpił na wystawie do Łodzi dzieło, któregoś dał nazwę „Masy plastyczne”. Ponieważ długo po zakończeniu wystawy dzieło nie wróciło, p. Borowski napisał list do łódzkiego Biura Wystaw Artystycznych. W odpowiedzi łódzkie BWA napisało: były już kłopoty przy opakowywaniu przesyłki z Lublina, bo dzieło zagubiło się wśród paków opakowania. Poszukajcie teraz dobrze w naszej skrzyni — też pewnie zapadziało się w pakułach...

## RYSZARD PODLEWSKI FRASZKI

Przed kłęką  
By nie wrócić „na tarczy”,  
z tarczą uciec wystarczy.  
Nie wylatuj!  
Nie „wylatuj” nad poziomych!  
swoich bliskich przełożonych!

—kaj—

surrealizm, autor przedwojennych „orków „Ciełe ręce” i „Wodny segir zęgar piaskowy”. Po wojnie wydał w r. 1953 „Bukiety dla tego życia”, a przed rokiem, po jedenaściu latach milczenia, wiersze „Każdy kiedyś wraca”.

„POINFORMUJE PAŃSTWA...” Jakoś nie bardzo chce się wietrzyć w „sensację”, o której wspomina Outsider w felietonie „List z Warszawy” („Zycie Literackie” nr 8), jakoby dzięki Odrożawowi-Pieniakowi badającemu od paru lat mickiewicziana „wyszło na jaw, że (...) nie znamy z góra jednej trzeciej materii (poety) pozostającej do dyspozycji”, którego nie zniszczył Władysław Mickiewicz.

ZESMY. W n-rze 6 „Zycia Literackiego” czytamy: „Córka boi się naszej szkoły, co takiego żeśmy jej zrobili”. Tak każe mówić polonistka dyrektorce tej szkoły w bardzo zresztą interesującym „opowiadaniu prawdziwym” o uczennicach w wieku dojrzewania.

TELEJEZYK. „Rozgłoszenie... z wyjątkiem Katowic przędzą do programów własnych” — mówi poprawnie spikerka P. E. W., „rozgłoszenie... z wyjątkiem Krakowa...” — mówi błędnie jej kolega p. P.

UPODOBANIE DO NEGACJI. Znajdziemy je — na co dzień — w słowach piosenek „Jakby nie było urządzimy sobie jakoś te miłości” i — od święta — w felietonie małżonka uroczej Amy Lyon („Kultura” nr 6): „Gdzie nie stąpnie, wszędzie wyciąga charakter narodowy”. Ba! Nawet tłumacz „Madame Sans Gene” kaze Rudzkiemu — Fouché mówić: „Do jakiego bym nie doszedł ja problemu, to...” A w „Kocpu wspomnień” czytamy: „bo — jakby nie było — Póller miał najlepszą orkiestrę” (str. 437) i „jakby nie było, był też prezesem Krakowskiego Związku Piłki Nożnej” (str. 429). I dodajmy jeszcze popularnego podróznika: „Jaki by on tam nie był dla Gwinejczyków...” Słowem: my Polacy, my lubim zaprzeczanki...

NIEŚMIERTELNE RECE PRECZ DO czasu do czasu przesładują nas w dziennikach, radiu i telewizji. Najpierw były w sloganie: „Rece precz od Korei!”, potem „od Kuby”, wreszcie uszyliśmy niedawno w telewizji „od Wietnamu”. Czy nasz język naprawdę jest taki trudny? Po polsku mówi się. Precz z rękoma!

ZAWRÓTNA KARIERA wyrazu „założyć”, którym się niefrasobliwie zastępuje synonim „włożyć”, jest zadziwiająca. Przecież synonim to podobieństwo, nie identyczność. A tymczasem tłumacz „ludzi w psalokach” Płara kaze „założyć spodenki”, a w innym miejscu „założyć czapkę”. Przez radio znów słyszałem, że ktoś „założył koszulkę lidera”, a w telewizji, że jakaś pani „założyła suknie”.



LUTOWE ROCZNICE. Czwartego lutego przypadło 400-lecie urodzin Mikołaja Reja, dwudziestego drugiego przed 153 laty urodził się Fryderyk Chopin. Rorys Pasternak ukonczyłby 75 lat dziesiątego lutego. Dwudziestego pierwszego przypadło 125-lecie urodzin Augusta Bebla.

BESTSELLER. „Notatki z życia, obserwacje i motywy” Karola Irzykowskiego, żywo dyskutowane i omawiane w prasie, są bez wątpienia na naszym rynku księgarskim bestsellerem, wydanym w liczbie 2250 (słownie: dwu tysięcy dwustu dziesięćdziesiątu — sic!) egzemplarzy...

PAMIĘTNIKI BRONIEWSKIEGO. Zamieszczony w n-rze 6 i 7 „Polityki”, rzucają ciekawe światło na kształtowanie się społeczno-politycznych poglądów i indywidualności młodego poety. Czytelników lubelskich, zwłaszcza ze starszego pokolenia, zainteresują fragmenty odnoszące się do Lublina z r. 1922, a wspomniana w przytoczonym liście do przyjaciela poety — Kenchoka „Istota mimozowała, przesubtelnością nerwowo aż do granic hysterii, bardzo piękną” starsi literaci lubelscy pamiętają dobrze.

A COŻ TO ZA NARODOWOŚĆ? Dotychczas tylko w komunikatach sportowych można było usłyszeć taki dźwięk, jak „Czechosłowak”. Ale w artykule literackim? Tymczasem autor „Czechosłowackich konfliktów i doświadczeń” („Zycie Literackie” nr 6) wyraźnie pisze: „Mamy wiele wspólnych problemów z Czechosłowakami”. Ejże! A moze z Czechami i Słowakami? Przed pierwszą wojną światową nikt jakoś nie pisał „Austrowęgier”, rozróżniając te dwie narodowości.

ARNOLD ZWEIF wezwał wszystkich pisarzy, by zaprotestowali przeciwko przedawnieniu zbrodni hitlerowskich i planowanemu przez Bonn zbrojeniem atomowym. A propos. Zdaże mi się, że „Spór o sierżanta Griszę” sądziwego autora niemieckiego po wojnie nie był u nas wznawiany.

NAJSTARSZE MUZEUM CZECHOSŁOWACKIE w Opawie obchodzi 150-lecie swego istnienia.

PIĘCZDZIESIAT LAT UKOŃCZYŁ w lutym Rudolf Fabry, poeta, który pierwszy wprowadził do poezji słowackiej

# Homo sapiens

CZESŁAW  
TWARDZIK

Hej, uwaga! Kto żyw do mnie!  
Do mnie plazy, do mnie ssaki,  
Gady, ćmy, robaki, ptaki!  
Kto tam jeszcze w rodowodzie?  
Te na ziemi i te w wodzie.  
Do mnie wszystko! Wszystko  
[do mnie?]  
Cyrk otwieram. Czy słyszycie?  
Tutaj jestem — w górę głowy!  
Na najwyższym stoję szczycie,  
A podo mną niebotyczne  
Drzewo genealogiczne.  
A więc już? Gotowe wszystko?  
Czy choć dobrze mnie widziecie?  
Będzie ładne widowisko,  
Bo dziś program daję nowy,  
Taki super — atomowy.  
Oto na gałąź śliską i stromą,  
Najwyższą gałąź w tym drzewie  
Pnę się — naczelny ssak.  
Ja — sapiens homo,  
Ja — homo sapiens.  
Tak.  
Zapalnik syczy w mej lapie,  
A ja do gwiazd się drapie.  
Do gwiazd. Słyszysz gibbonie?  
O! skok jeden — i w kosmosie.  
Mam paliwo i mam stątek.  
Cóż, mięk nudzi już ten światek.  
A wy co — po erach tyłu —  
Wielorybie i pytonie,  
Wyju, gnu i krokodylu  
Mocni w pysku i ognie?  
Wstyd, szympanise, wstyd, gorylu:  
Million lat przedlubać w nosie.  
Tyle epok, tyle lat.  
Oligocen, miocen, pliocen...  
No, pawianie, ty sam ocean!  
Tu kolczatka jest za świadka —  
Jaki jest twój wkład?  
Czym się ty od protoplasty  
Różnisz, braacie ogoniasty?  
No czym? Niczym.  
Ma!  
A ja? Dowód? Oto — blyk!  
Proszę bardzo — i eksplozja.  
Co tam w dole, jakiś pisk?  
Jakiś buntu słyszysz głos ja?

Spokojnie, proszę publikę.  
Bez protestów i paniki!  
Nie to było. Próbka. Bajka.  
Rozrywka dla wyższych sfer.  
Fajerwerk dla high life'u.  
Nie takie widziałam Łajka  
I nie takie — malpka z USA  
Prawnuczka driopitekusa.  
Nie przespałem swoich er  
Ja, król życia, bytu geniusz.  
Czym jest przy mnie neandertalczyk?  
Mucha, zero, pętek, małyzyk.  
Czym jest homo primigenius  
Wobec takiej jednej głowy.  
Oto — pstryk. I dowód nowy:  
Własny mózg — elektronowy.  
Już mu kaze liczyć, ile  
Świełtych lat ja podczas jazdy  
Będe gnał w kosmicznym pyle  
Do Syriusza wielkiej gwiazdy.  
Wiem również z emisji widma,  
Jaką masę taki „Byk” ma.  
A sputniki, a „Pionery”  
„Nautilusy”, „Explorery”.  
Dobre, co? Widzicie, gapie.  
Widać ślad mój na etapie.  
Lecz to jeszcze wszystko nic.  
Teraz sztukę wam pokaże.  
Bo się chyba nudzi widz.  
Już krok stawiam... równoważę...  
Gałąź moja jakoś gnie się...  
Uniesie mnie czy nie uniesie?

Niech nikt nawet nie zadzyszy.  
Tu śmiertelnej trzeba ciszy.  
Bo jak coś mi z rąk wypadnie  
Może być — no coż... nieładnie.  
I nieładnie, i nie fair, a  
To dlatego, że... ka-pe?...  
Milliard zmniejsz się do zera,  
Gdy to spądnie, gdy to kropnie.  
Efekt byłby wprost przedziwny:  
Grzyb podniebny, ognia snop i  
Ieś tam milionów stopni,  
No i pyl radioaktywny,  
No i pustka, no i nie.  
Dobre, co? Widzicie, gapie.  
Widać ślad mój na etapie.  
Ale znów się nudzi widz.  
Hej, uwaga! Kto żyw ślepią  
Niechaj teraz we mnie wlepią.  
Poprzez liście szparą luźną  
Niechaj karmi oczy, wszak  
Jutro może być za późno.  
Może to ostatni akt.  
Nie zostawiam nie na bis.  
Już zrobiłem pierwszy krok,  
Już drga ze mną konar śliski.  
Wstrzymać oddech, skupić wzrok.  
Czy widzicie mnie tam dobrze?  
Cóż wam tak pobladły pyski?  
A ty, co tam — płaczesz, brobrze?  
Do jamy się weiska lis,  
Puma drży na całym ciebie,  
Kangur tuli swoje małe  
Kangurzątko oszalale?  
Wstyd mi za was, przyjaciele,  
Dostyc tego! Spokój, ścierwy!  
Niech mi żaden tchórz ni szczeniak  
Nie przerywa przedstawienia.  
Ja mam też napięte nerwy,  
Taki wycyzn to nie żart.  
Jeszcze chwila takiej fety  
I już będę blisko mety,  
A z tam w podniebny start  
Na księżyc, na planety!

Pst! — coś pęka... Pst! — coś  
[trzeszczy...]  
Słyszysz jakiś syk złowieszczy...  
Zachwiałem się... Czyżbym spał?...  
Gałąź gnie się... Co za czart?  
A więc koniec, więc zagłada?  
Wszakże balansuję jeszcze.  
Jeszcze żyję, jeszcze trwam.  
Hejże, wyleknione zmyry!  
Wy zwierzaki, ryby, ptaki,  
Krygocze i pierwotniaki,  
Wszelkie organiczne twory,  
Wszystkich rządów, gromad, grup.  
Od komórek, utracialek  
Do najmłodszych sztucznych białek.  
Nie czas dawać folę spazmom.  
(Czego tak zawodzi bóbr?)  
Hej, wesolo, żywa plazmo!  
Póki żyjesz, póki drgasz,  
Póki czujesz, póki trwasz!  
Niemy widzu, bądź za świadka  
Opętanych moich prób.  
Żyj. Patrz. Chłoń. Czuj. Do ostątki.  
Zanim rzynię ognia słup.  
Zanim wzniosę wam i sobie  
Najwspanialszy na tym globie  
Gigantyczny, wspólny grób.  
Grób?... Co?... Nie, nie. Co ja  
[plote-]  
Lecz do dzieła — i to żywo.  
Oto moje cacko, Oto:  
Hop! — podraczam... Poszło krzywo?  
Ju?... przepraczam... Już nie ślapię!  
Fu! nie chwycę... Cóż, tak jest...  
Śmieciecie się więc ze mnie, gapie.  
Do rozpuku, do rozrywu,  
Aż do bólu, aż do lez  
Za ten jeden falstart głupi.  
Ale przedko... Czasu mało...  
Już do ziemskiej gna skorupy...  
Jeszcze sekund... szczę... Napięcie-  
Jeszcze moment... Pęka gałąź.  
Śmieciecie się. Słyszycie, trupy?  
Śmieciecie się! No, śmieciecie!  
[Śmieciecie!]  
(Potężny wybuch. Zogłada.)